Nr. 16. Warszawa, dnia 22 (10) Kwietnia 1893 r. Rok XIII.

PRAWDA

TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

PRENUMERATA „PRAWDY“
(wraz z bezpłatnym dodatkiem)
W Warszawie: miesięcznie kop. **70**, kwartalnie rs. **2**, rocznie rs. **8** z odnoszeniem do domu.
Z przesyłką pocztową do wszystkich miejsc Królestwa, Cesarstwa i zagranicy: kwartalnie rs. **2**. k. **50**, rocznie rs. **10**.

Adres: Marszałkowska (róg Żórawiej) Nr. 95.

Administracya otwarta codziennie, z wyjątkiem niedziel i świąt ważniejszych od godz. 10 do 5.
Redaktor przyjmuje interesantów w czwartki, piątki i soboty od 1 do 3 po południu.
Rękopisy drobne nie zwracają się.

Przedpłatę przyjmują: Administracya **Prawdy** oraz księgarnie, kioski i kantory pism peryodycznych.
Sprzedaż pojedynczych numerów po k. **20** w Warszawie w Administracyi pisma i w kioskach.
Ogłoszenia wszelkiej treści po kop. **10** za wiersz lub jego miejsce.

POLITYKA.

NIESPODZIANKA.

Rozwój wypadków w Serbii nie poszedł tą koleją, jaką przewidywaliśmy w poprzednim artykule, nie dlatego wszakże, ażeby przypuszczenia nasze były mylne, ale dlatego, że pojawił się na scenie *deus ex machina*, którego nikt nie oczekiwał. Na tej scenie bowiem widzieliśmy łamiących konstytucyę liberałów, wypartych radykałów, wreszcie regentów, ale nie widzieliśmy małoletniego króla, stojącego po za kulisami, obezwłasnowolnionego przez opiekunów, którzy za niego sprawowali rządy. I któż mógł spodziewać się, że nagle ten 16-letni król wystąpi w roli i niemal ze szpicrutą Ludwika XIV, że zawoła: rząd, to ja! — a nadewszystko, że obejmie władzę bez żadnego oporu.

Stał się ten niemal bezprzykładny wypadek d. 12 kwietnia. Wieczorem zaprosił młody król do siebie na obiad regentów i ministrów, niczego nieprzeczuwających. Po drugiem daniu zwrócił się do swych gości i podziękowawszy im za służbę, oświadczył, że odtąd sam rządzić będzie. Regent Ristic osłupiał, Belimarkowicz chciał protestować, ale w tejże chwili otworzyły się drzwi sąsiedniej sali i wszedł oficer, który poprosił regentów, ażeby się za nim udali. Przez całą noc zatrzymano ich w pałacu, rano zaś odwieziono do mieszkań, przed któremi postawione zostały straże. Tejże nocy król pojechał do koszar i odebrał od wojska przysięgę. Następnie wydał odezwę tej treści: „Serbowie! Ile razy żywotne interesy narodu serbskiego wymagały tego, zawsze przodkowie moi, Obrenowicze, stawili się do służenia serbskiej idei państwowej. Wychowany w ich tradycyi, wierny duchowi narodu, przyzwyczajony służyć przedewszystkiem idei państwa serbskiego, uważam dziś za swój obowiązek wstąpienie w ich ślady. Życie narodu powinno obecnie rozwijać się pod opieką konstytucyi, którą mój dostojny ojciec nadał krajowi w porozumieniu ze wszystkiemi stronnictwami i narodem. Niestety, w ostatnich czasach konstytucya została tak zagrożona, prawa obywatelskie moich drogich serbów tak podane w wątpliwość, a konstytucyjne stanowisko przedstawicieli narodu tak poniżone, że nie mogłem ociągać się z położeniem końca temu stanowi. Serbowie! Od dziś obejmuję władzę królewską w moje ręce. Od dziś konstytucya odzyskuje swoją moc i całkowite znaczenie. Z wiarą w szczęśliwą gwiazdę Obrenowiczów, oparty na konstytucyi i prawach, rządzić będę moim krajem i wzywam was wszystkich do służenia mi wiernie i szczerze. Prosząc Boga, ażeby opiekował się każdym moim krokiem, wołam: niech żyje mój naród!“

Ponieważ, jak to zaznaczyliśmy dawniej, naród jest przeważnie usposobiony w duchu radykałów, którym przy pomocy regencyi wydarli władzę liberałowie, przeto zamach stanu, wykonany przez młodocianego króla, wywołał wielki dla niego zapał w narodzie. Zresztą śmiałość tego czynu, jego powodzenie, przewrót spełniony zręcznie, bez rozlewu krwi, a nawet prawie bez oporu — wszystko to olśniło serbów. Po za radością ze zwycięztwa uczuli oni uwielbienie dla małego bohatera, który energicznie sobie począł.

Rozumie się, nie ma chyba tak naiwnego umysłu, któryby wierzył, że 16-letni chłopiec sam z własnej pobudki i według własnego planu przeprowadził tak tajemniczo, sprytnie i energicznie bardzo trudną operacyę. Więc zaczęto szukać jego doradców i kierowników. Przedewszystkiem dostrzeżono Dokicza, nauczyciela królewskiego, który został mianowany prezesem ministrów. Jakkolwiek dziś już nie ulega wątpliwości, że on był głównym wykonawcą całego przedsięwzięcia, badano dalej ukryte ręce z zewnątrz, które go ośmieliły i może namówiły. Faktem jest, że w Berlinie i Wiedniu nic o przygotowaniach do przewrotu nie wiedziano. Dyplomacya francuska i angielska, zdaje się, również zostały przezeń zaskoczone z nienacka. Co do Rosyi, Dokicz odpowiedział pytającemu go korespondentowi *Wiener Tagblatt*: „Jeżeli pan przywiązujesz jakąś wagę do mojego słowa honoru, to niem zaręczam, że twierdzenie (jakoby gabinet ruski był uprzedzony) jest najzupełniejszą nieprawdą. Dwie tylko osoby wiedziały o tem, co ma nastąpić: król i ja. Dla tutejszego przedstawiciela Rosyi, p. Persianiego, usunięcie regentów było taką samą niespodzianką, jak dla tych panów.“

Pozostaje Milan. I jego uczestnictwa Dokicz stanowczo zaprzeczył. „Od dwu lat — rzekł on — nie widziałem Milana. Nie byłem też wcale w Paryżu podczas 15-dniowego urlopu, lecz tylko w Wiedniu. Jestem dawnym studentem wiedeńskim i mam tam wielu przyjaciół. Potem jeździłem do Tryestu i Abazyi.“

Według Dokicza tedy żadne mocarstwo, nikt z zewnątrz nie wpłynął na ułożenie i wykonanie planu—on tylko i młody król. Wszakże najuroczystsze jego zapewnienia nie znajdują nigdzie wiary, gdyż trudno pogodzić się z myślą, ażeby 16-letni król i jego guwerner odważyli się sami na pokuszenie tak ryzykowne i niebezpieczne. Pomyślmy bowiem, na co mogli narazić się oba w wypadku niepowodzenia: pierwszy straciłby tron, a drugi poszedł do więzienia. Zwłaszcza zaś Milana nie chce prasa europejska w żaden sposób wyłączyć z tej sprawy. Właściwie jednak dotarcie do prawdy jest tylko interesem ciekawości, gdyż to, co się spełniło, pozostanie.

Czy młody król, któremu sam wiek nie pozwoli być samodzielnym, pójdzie po szczęśliwej drodze — to inna kwestya, zależna od tego, czy go poprowadzą po niej rozumni i uczciwi doradcy, czy też karyerowicze i matacze.

Z AUSTRYI.

Posiedzenie sejmowe. — Charakter ogólny obecnej sesyi. — Rozkład wszystkich stronnictw.—Zajścia w sejmie czeskim. — Walka o komisyę. — Przysięga Rygiera. — Feodałowie rozbici. — Bunt w obozie młodoczeskim. — Niezgody śród niemców w Styryi, Czechach i Szlązku. — Bilans sytuacyi.

Sesya parlamentarna zamknięta. Wstąpiliśmy obecnie znów w okres obrad sejmowych, które potrwają do jesieni. Nie stanowi to jednak znacznej różnicy w życiu publicznem monarchii. Zamiast wielkiego ciała zbiorowego, tracącego swój czas na niczem, mamy teraz kilka ciał mniejszych, których czynność mniej więcej te same wyda owoce. Przypatrywaliśmy się przez pięć miesięcy działalności ustawodawców naszych w Wiedniu, którzy w przeciągu tego czasu zaledwie zdołali załatwić budżet, niezawierający żadnych pozycyj nadzwyczajnych. Zobaczymy teraz, jak przez dalsze pięć miesięcy ci sami mężowie stanu w pojedynczych krajach obracać się będą w ciaśniejszem jeszcze kółku błędnem. Będziemy mieli widowisko zmartwychwstania tylekroć już pogrzebanej ugody czesko-niemieckiej w sejmie praskim. Odnowią się przed naszemi oczyma wszystkie przeszłoroczne kłótnie sejmów austryackich, styryjskich itd. I przekonamy się w końcu, że rezultatem tego okresu było kilkanaście mów polemicznych i kilkaset artykułów dziennikarskich.

Mimo to niesłusznem było twierdzenie, że ogólny stan rzeczy pozostaje tu niezmiennym. Na pozór polityka wewnętrzna Austryi przypomina wielką maszynę, znajdującą się w pełnym ruchu, obracającą potężne koła i walce, lecz niespełniającą przytem żadnej pracy. Przy takiej jednak maszynie, jak powie nam każdy inżenier, widzimy po pewnym czasie, że części jej składowe krzywią i wyginają się same i że okazuje się potrzeba odnowienia ich prędzej, niż przy maszynie pracującej na seryo. Otóż to samo dzieje się obecnie w Austryi. Pod wpływem polityki zupełnie bezowocnej objawia się wszędzie rozkład stronnictw, prowadzący zwolna do ich przeobrażenia. Wysoce znamienną pod tym względem jest właśnie obecna sesya sejmów.

W sejmie czeskim sprawa odgraniczenia okręgów sądowych stanęła na porządku dziennym. Nie chodzi tu bynajmniej o kwestyę zasadniczą, lecz tylko o wygrodzenie kilku okręgów z ludnością mieszaną, a więc o sprawę czysto administracyjną. Odgraniczenia takiego dokonywa rząd drogą rozporządzenia ministeryalnego. Zakres praw, przysługujących w takim wypadku sejmowi krajowemu, był przez pewien czas spornym. Przypominacie sobie może, że wskutek oskarżenia, wniesionego przez młodoczechów przeciw ministrowi sprawiedliwości, Schönbornowi, w sprawie sądu weckelsdorfskiego, musiał nawet wyrokować trybunał państwowy. Wedle orzeczenia tego, nie ulega wątpliwości, że rząd może przeprowadzić na własną rękę odgraniczenie pojedynczych okręgów i że nie potrzebuje na to zgody sejmu, lecz powinien tylko zasięgnąć jego opinii w każdym wypadku.

Takie właśnie wotum doradcze, mające wyjść z sejmu obecnego, stało się przyczyną zajść nader burzliwych. Chodziło o rzecz czysto formalną, bo o postanowienie, do jakiej komisyi należy odesłać przedstawienie rządowe. Byłoby dość naturalnem ze strony niemców, gdyby byli zażądali wskrzeszenia dawnej komisyi ugodowej w tym celu. Nie chcieli oni jednak widocznie użyć tak drobnej sposobności dla względów taktycznych, lecz licząc się z nastrojem ogółu wobec kwestyi ugodowej i wystrzegając się wszystkiego, coby mogło rozjątrzyć dawne rany, zaproponowali, aby przedstawienia rządowe przekazano stałej komisyi administracyjnej. Przywódca stronnictwa niemieckiego, Schmeykal, dołączył tylko zastrzeżenie, że ustępstwa tego nie należy uważać za prejudykat dla wypadków późniejszych, gdyż niemcy trwają nadal przy punktacyach ugodowych.

Na oświadczenie to, nieco tchórzliwe, odpowiedziała strona przeciwna, jak to w takich razach zwykle bywa, okrzykiem wojennym. Młodoczesi zażądali mianowicie utworzenia osobnej komisyi dla załatwienia przedstawień rządowych, komisyi, która oświadczyłaby się zasadniczo przeciw wszelkim punktacyom ugodowym, a w szczególności sprzeciwiałaby się zamiarom rządu w obecnym wypadku.

Rozstrzygnięcie zawisło tedy od obu stronnictw pozostałych w Izbie, mianowicie od feodałów i staroczechów. Decyzyi ich oczekiwano z wielką ciekawością, gdyż trudno było przepowiedzieć na pewno, w jakim ona duchu wypadnie. Zarówno staroczesi, jak feodałowie okazali w ostatnim czasie niedwuznacznie, że pod naciskiem opinii publicznej chcą się złączyć z młodoczechami w sprawach ugodowych; zarówno jedni, jak i drudzy wszakże wystrzegają się zarazem wszelkich skrajności, szczególnie zaś kroków niemiłych rządowi.

Co się tyczy staroczechów, to postąpili oni sobie jak stronnictwo, konające i rzucające się kurczowo w tę i ową stronę. W pierwszej chwili stanęli po stronie niemców. „Stary lew,“ Rygier, odezwał się sam. Mowa jego była dziwnym zbiorem sprzeczności. Naprzód oświadczył się za wnioskiem niemieckim ze względów formalnych, następnie zarzucił młodoczechom brak konsekwencyi w postępowaniu, wreszcie wprowadził wszystkich w zdumienie następującem wyznaniem, zawierającem pod formą patetyczną treść dość poważną:

„Przysięgam wobec Boga, że w Wiedniu nie bylibyśmy przystali na punktacye ugodowe, gdyby nam powiedziano, że celem odgraniczenia jest wydzielenie gmin czeskich z okręgów niemieckich. Kiedy później ten cel na jaw wyszedł, oświadczyliśmy, że musimy mieć pierwej jasny pogląd na całą sprawę ugodową i dopóki równouprawnienie obu języków nie będzie zapewnione dla całego kraju, dopóty o dalszych układach nie chcemy słyszeć.“

Po takiej mowie nie zadziwiło nikogo, gdy w ciągu dalszych rozpraw staroczesi przeszli odrazu z jednego obozu do drugiego i nazajutrz po owem pierwszem głosowaniu, przy którem pomagali niemcom — głosowali przeciw nim wspólnie z młodoczechami.

O wiele bardziej uwagi godnem jest stanowisko, zajęte w tej sprawie przez feodałów. Wystąpili oni przeciw młodoczechom i głosami swymi przeważyli szalę na korzyść niemców, których wniosek w końcu został też przyjęty.

Okoliczność ta, na pozór drobna, nabiera większej wagi, jeśli ją zestawimy z zachowaniem się klubu feodałów czeskich wobec zaproszenia wystosowanego doń przed kilku dniami przez młodoczechów. Ci ostatni zwrócili się mianowicie do wszystkich stronnictw czeskich z odezwą, w której, powołując się na znane uchwały przeszłorocznego zjazdu posłów, zaproponowali im wspólną naradę celem określenia programu dla jednolitego działania w obecnej sesyi sejmowej. Staroczesi i stronnicy Skardy przyjęli zaproszenie; feodałowie odpowiedzieli wymijająco, żądając bliższego oznaczenia punktów, mających stanowić przedmiot wspólnych obrad.

---

1)

BROLIS.

ŚMIESZNA DOLA.

Sylwetki*).

III. Przy kominku, na jawie i we śnie.

Wieczorem po pogrzebie chłód wzmógł się. Śnieg wielkiemi płatami padał na ziemię, chcąc zakryć jej brudy. Wicher tułał się po ulicach miasta, jak żebrak bez noclegu.

Podczas takiej sloty przyjemnie jest siedzieć w gronie rodziny przy kominku i gwarzyć. Ogień, zwijając się wesoło, niesie błogie ciepło, rzuca naokoło fantastyczne odblaski, ubarwia pół cieniami przedmioty. Na lśniącej się, wzorzystej posadzce pląsają jasne krążki: środkowy, nieduży, opasany półcieniem, potem mniej wyraźny, po nim cienisty, falujący pas, wreszcie mgławe, drgające smugi blasków i cieni łączą się, tracą odrębne cechy, roztapiają się i nikną. Portrety przodków i obrazy świętych, zawieszone na ścianach, stają się uroczo-tajemniczymi. Podzwrotnikowe rośliny w wazonach, tęskne, zadumane, unoszą wyobraźnię daleko za morza, do lepszych krajów i lepszych ludzi. Miękie kobierce w przyległych pokojach tłumią stąpania służących... Błogo, spokojnie jak w raju. Dusza topnieje niby wosk pod wpływem ciepła; czujesz się niezmiernie dobrym; muchy byś w tej chwili nie skrzywdził, o słoniu nie warto mówić...

Pan Brzuchalski był właśnie w takiem rozmarzeniu, gdy wicher zalepił mu śniegiem okna, gwizdnął szyderczo i pobiegł dalej.

— Jakaż okropna pogoda — szepnął szanowny mąż, wodząc dłonią po jedwabnych włoskach syna i rozrzewnionym głosem dodał:

— Przyjemnie ci, synku, siedzieć ot tak przed kominkiem, a jak jest tym, co nie mają ciepłej izby, a nawet odzieży! Ty masz ojca i mateczkę, którzy cię pieszczą, kochają; jakże muszą być nieszczęśliwi ci, co nie mają rodziców — sieroty...

P. Brzuchalski umilkł i zamyślony poważny wzrok utopił w zwierciadle, gdzie widział swe szanowne oblicze, oświecone i ogniem kominka i moralną potęgą. Skruszony synek ucałował godne ręce papy. Zapewne podziękował mu za to, że nie jest samolubem. Samolub nie raczyłby żyć dla przyjemności syna, umarłby najspokojniej i kwita. Nie, pan Brzuchalski nie uczyni tego, nie zechce, ażeby chłopak pozostał sierotą i nieukiem; poprowadzi go drogą żywota, aż ten urośnie duży i nauczony szczytnymi morałami ojca będzie też kiedyś prawił swej dziatwie o chłodzie, głodzie i nędzy... Ci zaś wnukom, wnuki — prawnukom — i tak do skończenia świata ród Brzuchalskich będzie mówił, mówił, mówił...

* * *

Nazajutrz zrana rządca p. Brzuchalskiego wszedł do suteryny, gdzie mieszkała Szymonowa.

— Ej, jejmość, czy zaległość za mieszkanie płacisz?

*) Brolis, jeden z najserdeczniej związanych z *Prawdą* jej długoletnich współpracowników, autor kilku drukowanych w niej pięknych opowiadań, którego nietylko talent, ale i charakter wysoko cenimy, nakreślił pod powyższym tytułem galeryę szkiców, związanych nicią niedoli głównego ich bohatera, syna wyrobnika, sieroty poniewieranego przez los, a noszącego w swej duszy iskrę geniuszu. Utwór ten jest dla ram *Prawdy* za obszerny, ponieważ jednak składa się z obrazków do pewnego stopnia odrębnych, więc zamieścimy niektóre z nich, wiążąc objaśnieniami przerywany ciąg wątku. Szymonek, któremu wicher ojca zabił, jest jeszcze u matki. *Red.*

Nie może więc ulegać wątpliwości, że stronnictwo wielkiej posiadłości nie znajduje się dziś wobec młodoczechów na tem samem stanowisku, na jakiem stało przed kilku miesiącami, czyli, mówiąc ściślej, że żywioły przychylne rządowi a wrogie młodoczechom uzyskały w niem chwilowo przewagę. Świadczy to o postępującym coraz bardziej rozkładzie klubu feodałów, z którego nie omieszkają skorzystać młodoczesi. Rozpoczęli oni też natychmiast zarówno w prasie, jak poza kulisami sejmu czynność, dążącą do rozbicia jednolitego dotychczas stronnictwa ks. Schwarzenberga. Gdyby im się to powiodło i gdyby przychylni im członkowie klubu feodalnego, którzy do niedawna jeszcze kierowali jego polityką w duchu haseł młodoczeskich, teraz przyłączyli się do nich otwarcie, mielibyśmy przed sobą fakt nadzwyczajnej doniosłości dla polityki czeskiej, a nawet dla stosunków wewnętrznych monarchii wogóle. Stronnictwo wielkiej posiadłości odgrywało bowiem dotychczas rolę rozstrzygającą w sejmie pruskim a tem samem posiadało też wpływ pierwszorzędny na politykę parlamentarną hr. Taaffego. Co zaś nastąpiłoby w razie rozpadnięcia się tej potężnej grupy, trudno przewidzieć obecnie, ponieważ i u wszystkich innych stronnictw występują równocześnie podobne objawy rozkładu.

Śród stronnictwa młodoczeskiego rozkład ten dokonywa się zwolna, ale stale. Grupa „realistów,“ podnosząca otwarcie sztandar buntu przeciw hegemonii zwolenników Gregra, coraz większej nabywa u ogółu powagi. Urządziła ona niedawno szereg zgromadzeń ludowych, na których uchwalono założenie odrębnego pisma, mającego osłabić wpływ wszechmocnych obecnie „Narodnich Listów.“

Niemniej widocznym jest wreszcie rozpad liberalnego stronnictwa niemieckiego. Objawił się on równocześnie w Styryi, w Czechach i na Szlązku. W Styryi narodowcy niemieccy coraz większą zyskują przewagę i coraz bardziej ścieśniają swe szeregi, co spowodowało w tygodniu ubiegłym liberalnego posła Morrego do złożenia mandatu. W sejmie praskim aż pięciu posłów niemiecko-narodowych oświadczyło odrazu przewódcy klubu niemieckiego Schmeykalowi, iż dopóty nie pojawią się na posiedzeniach tego klubu, dopóki członkiem jego pozostanie poseł Jantsch, przedstawiciel Izby handlowej i przemysłowej w Libercu, który przy sposobności głośnego, rozwiązania Rady tego miasta w przeszłym roku ściągnął na siebie niechęć tamtejszych prusofilów. Na Szlązku zaś wiceburmistrz miasta Opawy, Krommer, należący do stronnictwa narodowo-niemieckiego wystosował niedawno do swych przyjaciół politycznych wezwanie, aby nie kupowali niczego u liberałów i żydów oraz nie dawali im żadnego zarobku.

We wszystkich tych wypadkach uwidocznia się wzrost sił narodowców niemieckich, coraz ściślejsze zbliżanie się ich do antisemitów i wzrastający antagonizm między nimi a liberałami. To też prasa tego stronnictwa ogłasza obecnie, że zamierza ono zorganizować się tak, aby mogło w sejmach krajowych występować według pewnego jednolitego planu, a nawet zapewnia, że plan takiej organizacyi jest już ułożony.

Sprobujmy w końcu zoryentować się w tem chaotycznem nieco położeniu—zadanie łatwiejsze, niżby się wydawać mogło. Ze wszystkiego, cośmy powiedzieli, wynika, że w niedalekim może czasie, zamiast trzech stronnictw, wpływających na ukształtowanie się stosunków czeskich a pośrednio na całą politykę wewnętrzną monarchii, będziemy mieli sześć grup odrębnych. Nie potrzeba zbytniej przenikliwości żeby odgadnąć, na czyją korzyść wyszłaby ta zmiana. Antagonizm, wyradzający się w łonie pojedynczych stronnictw, naturalną koleją rzeczy część ich zbliży do rządu. To też powiedzieć można, że wszystko, co się dzieje obecnie w Austryi, przygotowywa nową większość dla hr. Taaffego. Widoki te jednak nikogo chyba nie usposobią entuzyastycznie. Większość, która wyrosłaby z rozkładu stronnictw obecnych, byłaby też odpowiednio do tego sposobu powstania — owocem zgniłym. Ustaliłaby ona tylko na czas pewien dwie rzeczy: rządy prezesa ministrów z jednej strony, a bezczynność parlamentu i sejmów — z drugiej.

S—l.

ANTISEMITYZM WE FRANCYI.

III.

Aby skończyć z psychologią francuskiego antisemityzmu, a przynajmniej z dążnością, jaką pragnie jej nadać jego historyczno-klasowa geneza i ojciec Drumont, dążnością wcielającą się w rzeczywistość o tyle, o ile wymagają tego chwilowe interesy lub niezadowolenia klas antisemickich, zatrzymać się jeszcze musimy nieco nad głęboką, inkwizytorską nienawiścią, którą płonie Drumont i *Wolne słowo*, ku lożom wolnomularskim. Nie są one bardzo liczne we Francyi, obejmują jednak, jak to wykazał ich zeszłoroczny kongres w Wersalu, przeszło 40 tysięcy członków i to między najwyższymi dostojnikami rzeczpospolitej. Carnot, Floquet, Bourgeois, Waldeck-Rousseau, Constans, Ferry, Ranc, Tolain i mnóstwo innych podlegają władzy Wielkiego Wschodu, który, pozostając naturalnie bez żadnego wpływu na bieg życia społecznego w kraju, odgrywa jednak dość znaczną rolę w korytarzowych kombinacyach parlamentarnych, w polityce osób, o którą drobnemu mieszczaninowi, subjektywiście i zwolennikowi półśrodków, chodzić musi. Masonerya, jak wiadomo, przyjmowała bardzo czynny udział w rozkładowem dla średniowiecznego ustroju dziele końca zeszłego wieku; zachowując jeszcze opozycyjne tradycye przed r. 1870, z utrwaleniem tzeciej rzeczpospolitej oddała się ona zupełnie na usługi rządu, który odtąd zadawalał w zupełności wymagania liberalnego mieszczaństwa. Racyonalistyczny katechizm i pseudogreckie poglądy na państwo, przechowane w obrzędach i statutach masońskich z przeszłego stulecia, zlały się w zupełności z paragrafami konstytucyi i kodeksu republikańskiego; wolnomularstwo odgrywało rolę straży i awangardy, pchającej rząd do konsekwentnego stosowania bezwzględnego racyonalizmu i odznaczyło się w walce z kościołem. Przedewszystkiem tedy zasłużyło ono na przydomek „zżydowionego,“ którego mu Drumont nie szczędzi, tem bardziej, że znaczna ilość żydów, jak np. Józef Reinach, dochodzi w niem do wysokich godności. Z mniejszą już nienawiścią, jakkolwiek bez cienia życzliwości, traktuje on ze swymi stronnikami protestantów: czuje przez skórę, że samo zjawienie się protestantyzmu było objawem rodzącej się wielkokapitalistycznej burżuazyi; wie, że przyczynił się on do rozkładu wieków średnich; przytem katechizm protestancki posiada również łatwość utożsamiania się z panującym kodeksem. Zgodność ducha protestantyzmu ze społeczeństwem skapitalizowanem przejawia się zarówno w dziełach moralistycznych urzędowego filozofa protestantyzmu, Juliusza Simona, jak w karyerach senatora Hébrarda, redaktora *Tempsa* i innych.

Szymonowa była kobietą przebiegłą, rozumiała więc, że łzami wiele można zrobić, a ponieważ — podług świadectw mądrych ludzi — łzy niewieście płyną na każde zawołanie, nuż tedy w szlochy.

— Wielmożny dobrodzieju, a skądbym mogła zapłacić! Niech dobrodziej choć miesiączek zaczeka: zapracuję, oddam.

Rządca zmarszył czoło i mruknął:

— Mnie szlochów nie potrzeba, nie masz czem płacić, ruszaj do licha; tutaj nie przytułek!

— Mój złoty dobrodzieju, a zlituj się — jęknęła baba i bęc plackiem do nóg.

Pokora — mówią — niebo przebija. Pan rządca, jako człowiek, który we wszystkiem zgadzał się z wolą niebios, lubił też pokorę, więc udobruchał się trochę i rzekł poważnie:

— Powinniście zrozumieć, że ja sam służę i nie mam prawa rozporządzać cudzem dobrem.

Kobieta, korzystając z nastroju rządcy, cienkim głosem pisnęła:

— Możebym poszła do p. Brzuchalskiego?

— Broń Boże! Czy chcecie, żebym z waszej przyczyny stracił miejsce; zaległe parę rubli i tak muszę za was zapłacić... Pan Brzuchalski lubi porządek... Ruszajcie sobie do licha, nie róbcie mi tarapatów.

Pan rządca gniewnie splunął i wyszedł.

Wieczorem Szymonowa, niosąc węzeł łachmanów i wiodąc za rękę drżącego Szymonka, wyszła z suterenу. Synek p. Brzuchalskiego wracał z przechadzki. Baba zmiarkowała, że dziecko nie trudno ująć łzami; opuszcza więc Szymonka, biegnie do panicza i rzuca mu się do nóg.

— Paniczyku, choć jeden miesiączek niech papo pozwoli zostać w mieszkaniu — potem cieplej będzie...

Panicz wzdrygnął się kupy łachmanów, krzyknął w trwodze: precz, precz—i uciekł. Drżący wpadł do pokoju ojca.

— Co ci jest, Jacusiu?— zapytał p. Brzuchalski.

— Żebraczka mnie przestraszyła; prosiła, żeby papo dał jej mieszkanie na miesiąc — ta Szymonowa, papo wie — taka brzydka...

— Łotrzyca — zawyrokował pan, kojąc przestrach syna.

* * *

Poznał swój swego. Szymonowa została przyjęta na mieszkanie przez wyrobnicę Janową.

Nazajutrz zrana wdowa zwróciła się do gospodyni z zapytaniem:

— Czy nie mogłaby pani Janowa wytłumaczyć snu: Zdawało mi się, że pasło się na jałowym gruncie siedem krów chudych, wtem przyszło siedem tłustych, rzuciło się na chude i pożarło je, przez co stały się dwakroć gładszemi, sierść połyskiwała niby srebro, a tłuszcz występując kroplami — niby rosa lub łzy — padał na ro-lę... Jednak nie użyznił jej, owszem wypalił do szczętu, póki nie pozostało żadnego źdźbła; natenczas owe krowy z wielkim rykiem popędziły do miasta, gdzie żydki złapali je za rogi i zaprowadzili do szlachtuza.

— E, pani Szymonowa, sen — mara, Bóg — wiara.

Pan Brzuchalski tejże nocy widział obraz wręcz przeciwny. Śniło się mu, że na bujnej łące pasło się siedem krów tłustych, przyszły inne chude, rzuciły się na tamte i połknęły je, same jednak pozostały chudemi.

Gdy się zbudził, strwożony wyszeptał:

— Czyżby ta kobieta dotąd pozostawała w suterenie?..

(D. n.).

Sympatyczne dla wieków średnich, przeciwgiełdziarskie, przeciwrządowe i zazdrośnie francuskie stanowisko, zajęte przez antisemityzm, określa stosunek między nim i różnemi klasami i partyami narodu. Więc naprzód ma on za sobą znaczną część armii, szczególniej oficerów średnich stopni, dla której sam jest z największymi względami, jak mu to jego patryotyzm nakazuje i która, marząc o szwoleżerach burbońskich, o orłach napoleońskich, nie należy do grona żarliwych republikanów. Potem, pewna część młodzieży uniwersyteckiej, która czując na własnej skórze zwiększającą się nadprodukcyę inteligencyi, widząc wiele dróg przed sobą zamkniętych, oklaskuje od czasu do czasu na wiecach Morésa, piorunującego na wysokich urzędników, w części żydów, zresztą zżydowionych. Dalej, szczerą dla drumontowskiego antisemityzmu życzliwość ma pewna część prawicy, mianowicie niższe duchowieństwo, chłopi i drobna szlachta, reprezentowana przez Cassagnaca. Mówimy: pewna część prawicy, bo co do wielkiej posiadłości ziemskiej, właściwej podstawy orleanizmu, to antisemityzm jest dla niej niemniej wrogim, niż dla „żydowskiej" republiki. Naprzód dość znaczna część tej klasy, najdalej posunięta w rozwoju ekonomicznym, złożona z właścicieli wielkich majątków, bogatych fabrykantów, bankierów, stanowi, pod przewodnictwem Piou, barona Mackau, Dugué de la Fauconnerie, grupę t. zw. prawicy konstytucyjnej, konserwatystów, „nawróconych" do republikańskiej formy rządu, która w gruncie rzeczy, po usunięciu religijnego radykalizmu, o co się postarać mają, nie grozi im żadnem niebezpieczeństwem. Między deputowanymi z prawicy znajduje się wielu, jak Lamazelle, jak Caradec, potomków tych, co kupili dobra skonfiskowane kontrrewolucyjnym wychodźcom — to wystarcza do niechęci i podejrzenia ze strony Drumonta. Wielcy rolnicy, jeśli nawet nie są republikanami, jak b. minister rolnictwa Develle, jak wódz protekcyonistów, Méline, nie mają w każdym razie żadnej pretensyi do pieniężnego gospodarstwa na wielką skalę; nie trzeba też zapominać, że, według Fernanda Mauricé („Réforme agraire et la misère en France") sami Rotchildowie posiadają we Francyi 200,000 hektarów ziemi. Od czasów Johna Law orleanizm znany jest ze swych giełdziarskich sympatyj: hrabina Paryża zbiera dobroczynną składkę obok Maurycowej Ephrusi; baron Hirsch zawdzięcza swą Legię honorową ks. Decazes. Wogóle nowożytna monarchia jest w oczach antisemityzmu skompromitowaną: „Ks. Napoleon — powiada Drumont — myśli jak Naquet (żyd, senator, który przeprowadził prawo o rozwodach), hr. Paryża mówi jak Baudrillart." Wsteczny w pragnieniach jest antisemityzm francuski, jednak w środkach gwałtownym i radykalnym, dlatego nie sympatyzuje z osłodzoną wodą chrześciańskiego socyalizmu, głoszonego przez hr. de Mun, czując jego organiczny związek z potrzebami kapitalizmu. „Katolicy — mówi Drumont — dziwnej jakiejś poddają się potrzebie postawienia straży duchowej dla bezpieczeństwa wolnomularskiego społeczeństwa, sprzecznego z ich zasadami: można powiedzieć, że Mun, założyciel „Kółek robotniczych," dawny kirasyer, przeszedł do żandarmeryi." Słowa te malują obecny moment w rozwoju agraryuszów, okres, w którym są oni zupełnie solidarni z wielkim kapitałem, a więc — wrodzy dla antisemityzmu.

Gdy zwrócimy się na lewo, spotkamy drobnego mieszczanina bez żadnej przymieszki cechowości, feodalnego szlachcica i księdza, a więc drobnego mieszczanina w ruchu ku wielkiemu kapitalizmowi, na przełomie między jednym a drugim stanem, prawie że jedną nogą na wyższem piętrze ekonomicznem. Ten typowy żywioł wielkiej rewolucyi mieszczańskiej dałby nam, jako skrystalizowanie swych dążeń, czysty radykalizm *à la* Clémenceau i tem samem wysunąłby się, stosownie do naszej wstępnej zapowiedzi, z ram niniejszego szkicu, gdyby nie ta dodatkowa okoliczność, że właściwie czuje on, iż podniesionej nogi nigdy na wyższym szczeblu nie postawi, że raczej z zajmowanego spaść mu wypadnie. *Délivrance*, *Germinal*, *La petite république française* Gobleta i Millerande reprezentują właśnie drobne mieszczaństwo, zwyciężone w konkurencyi przez wielki kapitał za widomem pośrednictwem giełdy, a nawet w znacznej części już zepchnięte w szeregi proletaryatu. Tem się objaśnia tytuł „społecznych" republikanów, który sobie te organy nadają, i znaczna doza sympatyi, którą obdarzają dążenia robotnicze, narzucając im do pewnego stopnia swój minimalny program. Ich tradycye i przeszłość żywiołów, których bronią, a nawet tłomaczą niechęć, z jaką np. *Délivrance*, jedyny z tych trzech dzienników, który, przez czas pewien przynajmniej, był oficyalnie antisemickim, spotyka antisemityzm Drumonta, który, jak widzieliśmy, jest objawem drobnego mieszczaństwa, mającego jeszcze interesy wspólne z drobną szlachtą i niższem duchowieństwem. Zresztą, jako drobnomieszczańskie, mają oba te odłamy jedną wspólną cechę: fanatyczny, wojujący i wyłączny patryotyzm, wzrok nieustannie zwrócony w stronę Renu, germanofobię i kult militaryzmu. Antisemicka *Délivrance* pierwsza wprowadziła we Francyi nazwę partyjną „społecznych patryotów," znacząc nią ostatni możebny dla mieszczanina stopień zbliżenia się do proletaryatu.

Przejdźmy wreszcie do pozytywnej strony kwestyi, do właściwego programu działania partyi. Wiemy, że jest źle, wiemy komu, przez kogo i dlaczego jest źle: teraz zobaczmy, w jaki to sposób antisemici mają „postawić wszystko na swojem miejscu," jak się dość charakterystycznie wyrażają, zdradzając swą skłonność do przeszłości (remettre). Głównym dokumentem musi być dla nas, wobec kompletnego braku drukowanych urzędowych programów, mowa margr. de Morès, na wiecu w Tivoli-Vaux-Hall, w pierwszych dniach stycznia r. b., w której sformułował on ośm punktów, określających kandydata partyi antisemickiej do parlamentu. Więc naprzód, dewiza *Wolnego słowa*: Francya dla francuzów przedewszystkiem, a dla pasorzytów później, jeśli będą jeszcze! Czytelnik zrozumie, że ograniczenie posiadania „Francyi," czyli przemysłu, rolnictwa, handlu i rządów, do francuzów jedynie zawsze znacznie złagodziłoby skutki konkurencyi, od której i sam margrabia tyle ucierpiał... Jak tego dopiąć? Dobre stare czasy gotowy wskazują środek: w r. 1661, wkrótce po objęciu władzy przez Colberta, król Ludwik XIV, dla poprawienia opłakanego stanu finansów, na żądanie nowego ministra, kazał aresztować wszechpotężnego giełdziarza Fouqueta i wielu innych i rozkazał im w przeciągu dni ośmiu przedstawić jaknajdokładniejsze sprawozdanie z operacyj majątkowych, czynionych od r. 1635; bogactwa, z których posiadania nie mogli się wytłomaczyć, czyli prawie wszystkie, zostały skonfiskowane. Morès tedy żąda „ustanowienia najwyższego sądu, złożonego z przedstawicieli rad departamentalnych, który sprawdzi sposoby dojścia do wielkich fortun i zwróci narodowi skradzione bogactwa."

Mniej więcej tego samego żądał przed kilku laty Chirac, a za nim Drumont w „Końcu świata": „Aresztować — powiada — 300 osobistości żydowskich, a choćby katolickich i protestanckich, lecz zbogaconych *żydowskim* sposobem, czyli przez operacye finansowe, i oddać ich miliardy ogółowi." Dotychczas oba odłamy antisemityzmu — drumontowski i „społeczno-republikański" są z sobą mniej więcej w zgodzie: zamach stanu odpowiada zupełnie gustowi subjektywistycznej *Délivrance*; dalej nieco się rozdzielają. „Społeczni" żądają wprost rewizyi konstytucyi, zniesienia senatu, reform czysto politycznych; Millerand wojuje o upaństwowienie Banku Francuskiego i kolei żelaznych, zostających w rękach rodziny Rotschildów; co do Drumonta i S-ki, znów szukają oni przykładu w przeszłości. „Św. Ludwik — przypomina mistrz Edward — chcąc zaprowadzić porządek w kraju, zwołał starszych wszystkich cechów i ułożył z niemi, przy pomocy Stefana Boileau, mądry i wiekopomny kodeks pracy; róbmy i my tak samo: po aresztowaniu przywłaszczycieli, zwołajmy izbę ekonomiczną przedstawicieli pracy," która — czytajmy między wierszami — wskrzesi mądre prawodawstwo cechowe. A margr. Morès za mistrzem, tylko mniej jasno, powtarza: „Przedstawicielstwo interesów zamiast ustroju parlamentarnego." Naturalnie: biskupi, szlachta, stan trzeci; po staremu...

W programie Morèsa jest jeszcze mowa o decentralizacyi administracyjnej, o autonomii gminnej, o zniesieniu ceł miejskich, o oddzieleniu kościoła od państwa z wolnością stowarzyszeń i kongregacyj; o racyonalnem popieraniu produkcyi narodowej, o *referendum* w pewnych wypadkach, o konstytuancie, wreszcie o znanym koniku margrabiego, wbijającym go w wielką zarozumiałość, choć wiernie pożyczonym od Proudhona: o kredycie robotniczym, którego udzielanie postawionoby Bankowi Francuskiemu za warunek odnowienia jego przywileju. Kredyt ten, w ilości 5,000 fr., przyznawany byłby *każdemu* robotnikowi po dojściu do pełnoletności, aby mógł sobie założyć własny warsztat. „Gdyby możebnem było nasypanie ptaszkowi soli na ogon, jak to radzą dzieciom— odpowiedział Morèsowi w zeszłym roku Guesde— można by go było złapać zupełnie"; gdyby można było skłonić Bank do przyznania takiego kredytu, byłoby to już zbytecznem. Ale punkt ten dowodzi nietylko społecznej naiwności samego reformatora, odzwierciedla on nieprzystosowanie się bronionych przezeń żywiołów do kapitalizmu z najemnictwem i chylenie się ich w stronę cechowo-rzemieślniczej przeszłości.

Kazimierz Krauz.

TYDZIEŃ POLITYCZNY.

Dla określenia obecnych wypadków w Belgii nie można użyć skromnych wyrazów słownika politycznego: zamieszki, rozruchy, starcia, awantury itp., lecz trzeba wymówić fatalne słowo: rewolucya. Tak, jest to najzupełniejsza, krwawa rewolucya. Lud, a zwłaszcza lud roboczy, rozdrażniony postawą zjednoczonego sejmu, obradującego nad zmianą konstytucyi, którego większość opierała się wprowadzeniu powszechnego głosowania w wyborach, bądź przez zemstę, bądź przez chęć wywarcia nacisku, zbuntował się, szerząc okrucieństwa i spustoszenia. Około 250,000 robotników zawiesiło pracę w kopalniach i fabrykach. Ta masa bezczynna, rozjątrzona, pałająca nienawiścią, zmącona domieszką pierwiastków złych i awanturniczych, zniszczyła zakłady przemysłowe, rozbijała i rabowała sklepy, tu i owdzie dopuszczając się nawet morderstw. Z oderwanych doniesień trudno ułożyć całkowity obraz zniszczenia, w każdym razie jest ono daleko większe, niż przed 7 laty. Parlament przeraził się, ale nie wiedział, jak zażegnać burzę, gdyż rozstrzelone w swych dążeniach stronnictwa nie mogły się zgodzić na żaden projekt reformy prawa wyborczego, król zaś chciał zachować swą

bezstronność konstytucyjną, a jednocześnie widział, jak spienione fale podmywają tron; słowem, zapanował chaos i zamęt, nieodsłaniający drogi wyjścia. Może nie tak gwałtownego wybuchu, ale po niedawnych doświadczeniach politycy belgijscy powinni byli spodziewać się groźnych zamieszek. Ich kłótnie, targi, aptekarskie odważanie praw wyborczych, wynajdywanie nowych a dziwacznych rozwiązań dla kwestyi w innych krajach dawno rozstrzygniętej — musiało rozdrażnić lud do najwyższego stopnia. Jak daleco zaciekłość pewnych żywiołów wzrosła, przekonywa napaść na burmistrza brukselskiego, Bulsa, który w niej omal nie postradał życia, chociaż nie należy wcale do uczestników i wrogów reformy. Dodać trzeba, że po części rewolucyą kierowali nie prości przywódcy mas, ale ludzie inteligentni, między którymi dostrzeżono nawet milionerów. Nareszcie pod wpływem tego strachu obradujący w konstytuancie zgodzili się na projekt Nyssena, zaprowadzający w Belgii głosowanie powszechne. Pod jakimi warunkami— o tem pomówimy później szczegółowo. Tymczasem zaznaczamy, że uchwała ta natychmiast uspokoiła wzburzone umysły. Znaczna część robotników wraca do zajęć, a starcia z policyą i wojskiem stają się coraz rzadsze.

Przewrót w Serbii przeszedł dziwnie gładko. Liberałowie „krzyknąwszy nie pozwalam, uciekli na Pragę,“ nowi ministrowie wykonywają swoje obowiązki bez przeszkód, nawet król — jak głosi depesza — powrócił do przerwanej nauki.

Rozwiązanie sejmu niemieckiego z powodu nieprzyjęcia ustawy wojskowej wciąż jeszcze wisi w powietrzu. Powolniejszym okazał się parlament dla podatku od majątku — nowej pompy, mającej nasycać pragnienia militaryzmu.

BADANIA NAUKOWE.

NOWY OBJAW.

Condillac, snując wnioski o postępie umysłowym z przypuszczalnej postaci ludzkiej, stopniowo nabywającej po jednym z pięciu zmysłów zewnętrznych, nie przypuszczał zapewne, że kiedyś natura sama da przedmioty spostrzeżeń tak zbliżone do jego wyobrażalnej postaci, jakiemi były w swoim czasie Laura Bridgman i James Mitchell, a dziś zajmująca obecnie uwagę psychologów amerykańskich Helena Keller *). Dziecko to, urodzone w czerwcu 1880 r., a więc mające obecnie rok 13-ty, utraciło bardzo wcześnie słuch i wzrok. Rola węchu i smaku w życiu jednostki ogranicza się prawie wyłącznie do kierownictwa w potrzebach fizycznych (względem nieodpowiedniego pokarmu lub zepsutego powietrza), a chociaż są one źródłem pewnych uczuć niższego gatunku, prawie nic się nie przyczyniają do rozwoju umysłowego; pozbawione bowiem zdolności rozkładania swoich wyobrażeń na ich pierwiastki, organa tych zmysłów nie mogą stać się źródłem pojęć ogólnych. Pomijając więc te dwa zmysły, możemy powiedzieć, że Helena Keller rozporządza jednym zmysłem dotyku dla zoryentowania się wśród świata i porozumiewania się z innemi istotami myślącemi.

Gdybyśmy przyjęli w całym zakresie twierdzenie sensualizmu o wyłącznie zmysłowem pochodzeniu władz umysłowych, należałoby się spodziewać, że dziecko, którego organy są tak zredukowane, nie dojdzie nigdy do wyższej inteligencyi.

W rzeczywistości Helena K. wykazuje nietylko nadzwyczajną bystrość umysłu, ale prawdziwy geniusz w zakresie poznania, połączony z niezwykłym zapałem do nauki i z bardzo subtelną wrażliwością uczuciową. Jest ona przytem fizycznie niezwykle rozwinięta: w zeszłym roku miała 5 stóp i 2 cale wzrostu, a ważyła 122 funty. Dopiero w siódmym roku zaczęto ją uczyć, a w ciągu trzech ostatnich lat, z których zdaje sprawę *Sixtieth annual Report* (1892) instytutu dla ociemniałych Perkinsa w Bostonie, nauczyła się mówić głosem.

Przytaczamy tu kilka ustępów *), dotyczących historyi rozwoju tego dziecka, zajmującego ze stanowiska naukowego, jak i z innych względów.

Panna Sullivan, jej pierwsza nauczycielka, tak opowiada o pierwszych krokach Heleny na drodze porozumiewania się z otoczeniem. „Upłynęło trzy lata od dnia, gdy poznała, że może udzielać wiadomości o swoich pragnieniach fizycznych, myślach i wrażeniach przy pomocy dowolnej mowy palców, do chwili, kiedy wzięła pierwszą lekcyę bardziej naturalnego i powszechnego sposobu udzielania swoich myśli — mowy ustnej. Do marca 1890 r. nie robiono żadnych prób w tym kierunku, a pierwsze jej wynurzenia były tylko instynktowne. Przy pomocy mowy palców nabyła zrozumiały słownik wyrazów, którym posługując się, mogła prowadzić rozmowę, czytać oraz pisać poprawnie po angielsku. Pomimo to okazywała pociąg do wydawania dźwięków, a ustawiczne moje wysiłki ku stłumieniu go były bezowocne. Nie przychodziło mi na myśl, żeby uczenica moja mogła posiadać szczególną zdolność do mowy ustnej. Wiedziałam, że Laura Bridgeman objawiała podobną skłonność do wydawania dźwięków i że nawet nauczyła się wymawiać kilka prostych wyrazów, którymi się posługiwała z wielką przyjemnością; nie wątpiłam też, że Helena potrafiłaby tyleż. Sądziłam jednak, że korzyść którą stąd osiągnie, nie wynagrodzi straconej na podobne doświadczenia pracy i czasu. Gdy uległa chorobie, następstwem której była strata wzroku i słuchu, miała 19 miesięcy i zaczęła już prawie uczyć się mówić. Pozbawione znaczenia bełkotanie dziecięcia przybierało coraz więcej świadomy i dowolny charakter znaków, wyrażających uczucia i myśli. Choroba jednak przerwała dalszy postęp językowy, a gdy Helena powróciła do zdrowia, przekonano się, że postradała mowę wskutek straty słuchu. Nie przestawała wprawiać w ruch swoich organów głosowych, jak to zwykle czynią dzieci. Krzyk, śmiech i tony jej głosu, gdy wymawiała niektóre pierwiastki słowne, były zupełnie naturalne, lecz dziecię oczywiście nie przywiązywało żadnego znaczenia do tych dźwięków, które, z wyjątkiem jednego, wydawane były nie w celach porozumienia się z otoczeniem, lecz wskutek prostej potrzeby użycia wrodzonej, organicznej i dziedzicznej zdolności. Tylko wyraz *water* (woda), jeden z pierwszych, który zaczęły wymawiać jej dziecinne usta, zachował dla niej znaczenie; powtarzała go też przez długi czas po stracie słuchu. Lecz wymawianie to stawało się coraz mniej wyraźnem, a gdy ją po raz pierwszy poznałam, stanowiło jakiś dźwięk osobliwy. Niemniej jednak był to jedyny znak, którym się posługiwała dla oznaczenia wody, a nie zapomniała jego znaczenia, dopóki się nie nauczyła sylabizować słów przy pomocy palców. Wyraz *water* oraz ruchy odpowiednie słowom *good bye* (do widzenia) stanowiły, zdaje się, wszystko, co dziecię pamiętało z naturalnych i nabytych znaków przed chorobą...

W czasie, gdy zostałam jej nauczycielką, posiadała Helena około 60 wymyślonych przez się mniej lub więcej dowcipnych znaków, zrozumiałych dla wszystkich, którzy ją znali.“

Zadziwiającym w niej jest instynktowy pociąg do dźwięków, których ani słyszeć, ani rozumieć nie mogła. „Siedząc często sama — opowiada nauczycielka — wydawała brzmienie, trzymając jedną rękę na gardle, a palcami drugiej dotykając ust. Często przy odpowiednim wyobrażeniu wybuchała śmiechem, a wtedy wyciągała rękę do ust tego, kto się znalazł w pobliżu, aby się przekonać, czy się śmieje *); jeśli zaś nie zauważyła uśmiechu, zaczynała energicznie gestykulować, starając się wytłomaczyć myśl swoją; lecz gdy się jej nie udawało rozśmieszyć kogoś, zostawała przez kilka minut nieruchomą, z wyrazem zmieszania i smutku, którego nigdy nie zapomnę.“ Sprawiało jej przyjemność, gdy odczuwała ręką wydawane przez ludzi lub zwierzęta dźwięki, a zwłaszcza zachwycał ją śpiew; przytem zwykle kładła jedną rękę na ustach śpiewaka, drugą zaś na fortepianie. Później starała się wydawać przeciągłe dźwięki, które nazywała śpiewem. Wreszcie nauczyła się, badając w ten sposób usta swoich przyjaciół, wymawiać słowa: *papa*, *mamma*, *baby* (czyli bebi — dziecko), *sister* (siostra), zawierające trzy głoski i sześć spółgłosek. Dopiero w zimie r. 1889—90 przekonała się, że jej sposoby udzielania myśli swoich różnią się od tych, którymi się posługują jej przyjaciółki i towarzyszki zabaw w zakładzie ociemniałych. Pewnego dnia zadała nauczycielce pytanie: „Skąd wiedzą dziewczynki, co mówią ich usta? Dlaczego nie nauczysz mię mówić tak, jak one? Czy głuche dzieci mogą nauczyć się mowy?“ A gdy odpowiedziano jej, że jest w Bostonie szkoła, gdzie uczą mówić głuchych, ale ci muszą widzieć usta nauczyciela, odpowiedziała, że jest zupełnie pewną, iż zdoła odczuć je dotykiem. Wkrótce potem dowiedziała się od jednej odwiedzającej ją pani, że niejaka Ragnhild Kaata ślepa i głucha nauczyła się mówić i rozumieć, dotykając ust nauczyciela. Radość jej była niezmierna. „Jestem pewna — mówiła — że i ja nauczę się mówić.“ Od tej chwili nie przestawała myśleć o tem, a gdy panna Sullivan zaprowadziła ją do panny Fuller, która rozpoczęła naukę mowy ustnej, Helena przez cały czas była w takim podnieconym stanie, że w końcu wpłynęło to źle na jej zdrowie.

Trudności tylko zachęcały ją do pracy, a nic nie mogło oziębić jej zapału. Przed upływem miesiąca była w stanie prowadzić zrozumiałą rozmowę ustną.

Metoda nauczania polegała na tem, że nauczycielka układała usta swoje do wy-

---

*) Laura Bridgman i James Mitchell były to dziewczęta pozbawione wzroku i słuchu. Obie wykazywały tak subtelnie wyrobiony zmysł dotyku, że np. pierwsza dowiadywała się o porze wstawania, wkładając palec do dziurki od klucza i czując nim drżenie wywołane przez ruch innych dziewcząt. O jej życiu i wychowaniu pisała Mary Swift Lamson (*Life and education of Laura Bridgman*), o J. Mitchell wiele szczegółów zawiera *Elements of Philosophie of human Mind*. Por. także Murraya *Psychologię* (po polsku).

*) Korzystamy z obszernej relacyi w kwartalniku filozoficzn. angielskim *Mind* (ostatni zeszyt z roku zeszłego).

*) Ten objaw jest bardzo ciekawy; dowodzi on, że w umyśle Heleny było coś nakształt niejasnej myśli o „harmonii przedustalonej“ Leibnitza. Skoro w główce jej snuły się wesołe wyobrażenia, zdawało się jej naturalnem, że podobnež myśli powinny były powstać jednocześnie i u innych, a czuła się bardzo smutną, gdy doznawała zawodu. W istocie umysł takiej pozbawionej słuchu i wzroku istoty zbliża się bardzo do wyobrażenia „pozbawionej okien“ monady; z trudnością więc rozróżnia własne stany ducha od wywołanych przez warunki zewnętrzne. Zarazem pokazuje się, jak ważną potrzebą człowieka jest odczuwanie wspólne. Helena Keller pozbawiona prawie środków dzielenia się myślami, musiała odczuwać boleśnie swoje odosobnienie. Stąd owa gorąca żądza nauki wyrażania myśli.

mówienia pewnego dźwięku (zaczynając od i), następnie wprowadzała jedną rękę dziecka do jamy ustnej, drugą zaś kładła jak najniżej na gardle i wydawała dźwięk. Uczenica układała swoje usta przy pomocy tych wrażeń dotykowych, a gdy nauczycielka mówiła, że dźwięk jest poprawny, uczyła się go przez wielokrotne powtarzanie. „Dnia 26 marca 1890 r. wzięła Helena pierwszą lekcyę — odpowiada Miss Fuller — a 19-go następnego miesiąca, będąc w domu jednego z przyjaciół, opowiadała ustnie o wizycie swojej u dr. Olivera Wendell Holmesa. Siedziałam koło niej, gdy mówiła, chciwie łowiąc wychodzące z jej ust słowa. Zaledwie było cztery takie, których nie zrozumiałam i prosiłam, aby mi powtórzyła palcami...

„Swoboda z jaką używała mowy w tym dniu, była prawdziwie zadziwiającą. Zdawało się, że posiada nową władzę i oddawała się całkowicie radości z tego powodu. Wracając do domu mówiła: „Teraz nie jestem już głuchą.“

Przytaczam tu jeszcze początek listu Heleny do panny Fuller pisanego 3 kwietnia 1890, więc w kilka dni po rozpoczęciu lekcyj jako wzór stylu tego cudownego dziecka:

„Serce moje pełne jest radości w tym pięknym poranku, gdyż nauczyłam się wymawiać kilka nowych słów i mogę ułożyć kilka zdań. Ostatniego wieczoru wyszłam na podwórze i rozmawiałam z księżycem. Mówiłam mu: „Księżycu, chodź do mnie!“ Czy sądzi Pani, że miły księżyc rad był słyszeć mnie mówiącą głosem? Jak się ucieszy matka moja! Zaledwie mogę się doczekać czerwca, gdy ją ujrzę, tak niecierpliwa jestem przemówić do niej i do mojej drogiej małej siostrzyczki. Mildred nie mogła mnie zrozumieć, gdy mówiłam do niej palcami, lecz teraz będzie siedziała obok mnie, a ja opowiem jej wiele ciekawych rzeczy i będziemy obie szczęśliwe. Czy Pani bardzo, bardzo szczęśliwa, że może uszczęśliwić tyle ludzi?.. itd.

Ten motyw — chęć przelania uczuć swoich i radość, pochodzące z odczucia szczęścia innych, występuje ze szczególną jaskrawością u dziecka, któremu natura tak utrudniła wymianę myśli z podobnemi mu istotami.

W. M. Kozłowski.

MĘŻCZYZNA I KOBIETA

W SPOŁECZEŃSTWIE PIERWOTNEM.

(Szkice antropologiczne).

IV.

Obrzęd wtajemniczania młodzieży i zmiana jego dążności w ciągu wieków. — Charakter ceremonii u ludów pierwotnych jako szkoła uczuć obywatelskich. — Rysy pierwotne obrzędu, występujące na lądzie australskim. — Wyrzucanie chłopców z obozu było pierwszem ogniwem. — Źródło tego spoczywa w współzawodnictwie starszych i młodszych mężczyzn. — Rodowód obrzezania.

Kilkakrotnie już potrąciliśmy o obrzęd wtajemniczania młodzieży, będący jednocześnie ceremonią jej uobywatelenia. Jest to chwila nader ważna w życiu pierwotnego człowieka: wyrostek zostaje oddzielony do matki, przypuszczony przez mężczyzn do tajemnic kultu, przyjęty do obozu męzkiego. Zresztą charakter obrzędu ulega silnym zmianom w ciągu rozwoju dziejowego, jedne cechy maleją w swojem znaczeniu, inne coraz silniej występują na przód, tak iż w ostatecznym wyniku ceremonia na wyższych szczeblach wygląda zgoła inaczej aniżeli na niższych. Bierzmowanie, które jest już nader dalekiem ogniwem tego łańcucha rozwojowego, utraciło najzupełniej wszelkie znamiona, właściwe obrzędowi w jego pierwotnej postaci. Zmiana a raczej przybranie jeszcze jednego imienia, uderzanie i smarowanie po twarzy pewnemi substancyami są to najjaskrawsze zabytki, wskazujące rodowód obchodu. W tym razie niby-przypadkowa, tj. obrzędowa strona ceremonii, okazała się oporniejszą względem wszystko miażdżących zębów czasu, aniżeli duch dokonywanego obrzędu, co zresztą stanowi zasadę w dotychczasowym rozwoju kultury ludzkiej. Bierzmowanie przestało być instytucyą społecznej, ziemskiej natury, a jest jedynie odnowieniem przymierza z Najwyższą istotą, środkiem ściągnięcia jej łask na uczestników. Inaczej rzeczy wyglądają na niższych szczeblach rozwoju kulturalnego. Jeżeli np. zwrócimy się do ludów barbarzyńskich Ameryki północnej, ujrzymy, że obrzęd wtajemniczania posiada tam charakter zgoła odmienny. Młodzież przebywa szereg istotnych katuszy, które winny dowieść, że młodzieniec posiada dostateczny hart duszy i zasługuje w zupełności na to, aby go dopuszczono do obywateli plemienia. Nie będziemy podawali opisów tych tortur, gdyż to zaprowadziłoby nas zbyt daleko, poprzestaniemy zatem jedynie na ustępie z pracy Lawsona (1718), malującej charakter obrzędu. Opis nie jest ścisły, ale do naszych celów wystarczy, gdyż w zupełności uwidocznia różnicę, która istnieje pomiędzy bierzmowaniem a obrzędem wtajemniczania u indyan. „Corocznie ludy te zgromadzają całą młodzież plemienną, którą uznali za znajdującą się w odpowiedniem wieku, i poddają ją pewnym doświadczeniom, które winny uczynić wyrostków posłusznymi względem władzy. Zwyczaj ten odpowiada naszemu posyłaniu dziatwy do szkoły, ażeby tam nauczyła się czytać... Kiedy wreszcie przebędą te próby, wychodzą w stanie najstraszniejszym, trzeba bowiem wiedzieć, że wielu umiera... Dzicy powiadają, że gdyby nie te doświadczenia, nigdyby nie zdołali przełamać nieposłuszeństwa młodzieży; nadto dodają, że one ją uzdolniają do wytrzymałości na trudy wojny, polowania i wogóle na wszystkie ciężkie przejścia, na które tryb życia wciąż ją wystawia. Wreszcie mówią, że próba taka usuwa z pośród chłopców wszystkie słabe organizmy, które z czasem stałyby się ciężarem dla plemienia, i w ten sposób zachowywa środki żywności dla silniejszych, przepadające bez pożytku, gdyby takie słabe istoty utrzymały się przy życiu.“ Nigdzie jednak obrzęd uobywatelnienia nie był przedmiotem tak poważnych i tak sumiennych poszukiwań, jak na lądzie australskim. Posłuchajmy, jak naoczni świadkowie oceniają jego znaczenie. „Jest rzeczą oczywistą, że cała ceremonia ma na widoku wykład dla plemiennej młodzieży przywilejów, obowiązków i powinności dojrzałego wieku. Wraz z przyjęciem do grona mężczyzn, chłopcy zostają wyzwoleni z pod opieki matczynej. Obrzęd winien wyżłobić przepaść pomiędzy przeszłością chłopięcą, a przyszłem życiem męzkiem, która już nigdy nie zostanie przykrytą. Jest on nadto środkiem wzmocnienia powagi starców w stosunku do młodzieży. Wreszcie plemię korzysta ze sposobności, aby w sposób niestarty wyryć w młodym umyśle zasady postępowania, stanowiące kodeks moralny plemienia. Oprócz tego dostrzegamy tu niby-religijną domieszkę, która silnie wzmacnia wrażenie, jakie podobna ceremonia wywarła na młodych umysłach.“ Atoli dość wejrzeć uważniej w obrzędową stronę, a nawet w zasadnicze rysy obrzędu u australczyków, ażeby spostrzedz pewne pierwiastki, które ceremonii nadają postać odmienną. Jednym z takich rysów jest trzymanie młodzieży w zupełnem odosobnieniu od kobiet, a jakeśmy to widzieli w poprzednim szkicu, surowa kara oczekuje kobietę, która nawet przypadkowo zoczy jakiegoś wyrostka w ciągu tych miesięcy, kiedy przebywa on wtajemniczenie. Podobnie surowo zostałby ukarany młodzieniec, któryby przełamał nakazywane przez zwyczaj unikanie widoku lub rozmowy z jakąś niewiastą. A taki stan rzeczy ciągnie się wiele miesięcy. Atoli mamy szczegóły jeszcze bardziej znamienne. Młodzieniec faktycznie zostaje wykluczony ze społeczeństwa i skazany na tułaczkę, niby jakiś wyrzutek-zbrodniarz. Nie może on w większości wypadków widzieć nietylko kobiety — nawet swojej matki, dla której staje się poniekąd jakby obcą istotą, ale nawet młodszych wiekiem chłopców. Jedynie starcy plemienni mają dostęp do tych wyrzutków, uważną rozciągają nad nimi opiekę i wykładają im zasady moralne, a szacunek dla starców zajmuje wśród tych przepisów jedno z miejsc najpierwszych. Młodzież, wyrzucona z plemienia, żyje bardzo długo obozowo, zdala od reszty społeczeństwa, i tylko zwolna zostaje dopuszczoną do niego z powrotem. Gdzieniegdzie zaś młodzieniec tuła się pojedynczo, a kiedy wtajemniczenie skończy, niekiedy ledwie trzyma się na nogach. Nadto warto zaznaczyć jeszcze jeden szczegół, że o chwili obrzędu rozstrzygają nie jego rodzice, ale ogół plemienny.

Przyjrzyjmy się wyglądowi obrzędu u najniższych grup rodu ludzkiego. U dyjerów, kiedy zarost ukazuje się na twarzy chłopca, rada starców zbiera się w tajemnicy przed jego rodzicami i nakazuje jakiejś kobiecie zawiesić mu muszlę na szyi. Czeka ona sposobności i pewnego wieczoru spełnia rozkaz. Chłopiec, wiedząc z opowiadań, co to znaczy, ucieka, w obozie zaś podnosi się wrzawa i hałas. Ojciec i starsi bracia gniewają się: kto pozwolił starcom wtrącać się do ich syna! Tymczasem on tuła się całą noc samotnie i dopiero dnia następnego niepokrewni mężczyzni odszukują go i wraz z nim udają się do sąsiednich obozów, odległych niekiedy o 100 mil ang., z zaproszeniem na uroczystość wtajemniczenia. Atoli chłopiec nie wchodzi do obozów lecz błąka się w pewnej odległości; nie wolno mu spotkać nikogo, zwłaszcza kobiety. Wreszcie po kilku miesiącach powraca do ojczystego obozu, lecz i tutaj tuła się w pobliżu, póki w przededniu głównego obrzędu nie sprowadzą go wysłane w tym celu niewiasty. Ledwie wejdzie, przy ogólnym wrzasku zostaje porwany przez kilku mężczyzn, zaniesiony w ustronne miejsce, leżące o kilkaset yardów po za obozem, przykryty skórami i pozostawiony do ranka. W obozie wszczyna się niby kłótnia. Krewniacy chłopca wymyślają starcom, którzy kazali zawiesić muszlę na jego szyi; z kłótni wywiązuje się bójka, w której każda strona nie szczędzi ciosów. Kobiety podczas tego wrzeszczą jak opętane. Wreszcie nastaje zgoda, na dowód czego ciągnie się przez noc całą aż do rana bezładne obcowanie małżeńskie. Rano starcy dokonywają na chłopcu operacyi, która u etnografów australskich słynie pod nazwą strasznego obrzędu, a którego hebrajskie obrzezanie jest szczątkiem. Chłopiec bywa jeszcze na 4—5 miesięcy wyprawiony z obozu, poczem zostaje uznany za mężczyznę.

Przytoczymy jeszcze opis ceremonii z innej okolicy lądu australskiego, uzupełniający swoimi szczegółami powyższe dane. „W ciągu tego okresu młodzieniec cierpi strasznie, a nie spotyka u nikogo współczucia. Ostrzyżona głowa jest pomazana gliną, a wązki grzebyk włosów, sterczący buntowniczo w pośrodku, nadaje mu wygląd bynajmniej nie powabny. Ciało jest także pokryte gliną, mułem i popiołem. Chociaż ceremonia odbywa się zimą, kiedy powietrze jest chłodne, młodzieniec nie ma prawa przykryć się skórą. Pod ramieniem trzyma koszyk, napełniony gliną i popiołem. W takim stanie dniem i nocą błąka się po obozie, wykrzykując głośno dla ostrzeżenia: tib-bo-bo-but! Po drodze

zbiera błoto i kładzie do koszyka. Nikt nie odzywa się doń, nikt nie rzuca mu słowa zachęty, wszyscy się obawiają. Jeżeli ktoś wyjdzie z szałasu, rzuca on weń błotem; nie wolno mu wejść do namiotu, ani ciskać na kobietę, idącą po wodę. Rzuca błotem, kiedy mu się uda, a kobiety i dzieci, wreszcie nawet sami mężczyźni, wykazują obawę, kiedy wyrzutek przejdzie im przez drogę. Kobiety i dzieci wrzeszczą, kiedy go ujrzą i chowają się do namiotów. Głos ostrzegający wciąż daje się słyszeć, inaczej ceremonia byłaby niezupełną.“

Ostatnio przytoczone opisy dotyczą najniżej stojących plemion lądu australskiego. Obrzęd wtajemniczenia przybrał tutaj barwę szczególną, na pierwszym bowiem planie stoi wyrzucenie wyrostków z obozu, a raczej ze społeczeństwa — chłopiec jest w tym okresie życia istotnym wywołańcem, a samo wyrzucenie odbywa się, przynajmniej symbolicznie, wbrew woli najbliższych krewnych. Rys ten zwolna zanika w miarę tego, jak przechodzimy do grup wyżej stojących pod względem kulturalnym. U barbarzyńców Ameryki północnej zmiana ta jest już tak wielka, że wtajemniczenie staje się jedynie szkołą uczuć obywatelskich, a w naszem bierzmowaniu i tego już nie ma. Materyał, który udało nam się zebrać, ani chwili nie pozwala powątpiewać o tem, że takim a nie innym był istotny punkt wyjścia dla owego zwyczaju, mianowicie że wydalenie wyrostków z obozu było pierwotnie jedynym celem, do którego podążająca ewolucya społeczna przyczepiła dopiero z czasem inne: wykład obowiązków plemiennych, wypróbowanie hartu młodzieńców, wprowadzenie wyrostków do przymierza z Jahwą plemiennym. Ciężkie przejścia, które początkowo były koniecznem następstwem wydalenia chłopców ze społeczeństwa, z biegiem czasu zostały użyte do innego celu, np. doświadczenia wytrwałości. Słowem, zdaje się, że w bardzo wczesnym okresie dziejowym dorastająca młodzież bywała systematycznie wyrzucana z hordy — istnienie wtajemniczenia we wszystkich zakątkach globu świadczy o podobnej terytoryalnej rozległości zwyczaju. Nadto zaznaczmy, iż mnóstwo okoliczności wskazuje, że owo wyrzucenie było sprawą nader poważną. Uwydatniają to różne okaleczenia, wszędzie praktykowane podczas obrzędu, a które dzisiaj stały się znakami plemiennymi, dowodem przymierza pomiędzy plemieńcami a „wielkim przodkiem.“ Niektórzy usiłują wyjaśnić owe blizny tem, że niegdyś żłobiono je na ciele ludzkiem dla przyozdobienia go; ale należy zapytać twórców tej idei, jakim sposobem człowiek dla ozdoby poddawał się nader ciężkim operacyom, a nadto zgoła nawet niewidocznym dla oka. Naszem zdaniem, pochodzenie większości tych znaków było zgoła odmienne. Są one zawsze związane z obrzędem przyjęcia wyrostka do związku męzkiego— obrzędem, który pierwotnie zasadzał się na wyrzuceniu ze społeczeństwa dojrzewających młodzieńców, i tem samem świadczą, że były może nieodłączną częścią tego aktu. Rozpatrzmy z blizka chociażby obrzezanie. Pojęcie, jakie publiczność wyrobiła o niem ze wzorów historycznych, jest bardzo niewinnem w porównaniu z istniejącą tu i owdzie rzeczywistością; ceremonia ta u dyjerów kaleczy człowieka w straszliwy sposób, u hotentotów wtajemniczany staje się połowicznym eunuchem. A są to już prawdopodobnie zmiękczone formy okaleczenia. Słowem, wydalenie wyrostków szło w parze z prześladowaniem ich. Przez kogo i w jakim celu? Rozbiór obrzędów nie pozostawia w tej mierze żadnej wątpliwości. Wyrostki zawsze bywają odsunięci od kobiet — jest to rys zasadniczy, a powtóre spotykają się jedynie ze starszem pokoleniem męzkiem, które wtajemnicza ich, dokonywa zranień itd. Strona obrzędowa ceremonii świadczy o tem wymownie. Przed rozpoczęciem ceremonii np. starcy rzucają się tu i owdzie na młodzieńców, naśladując symbolicznie gniew, i dopiero później przepraszają, że im nic złego nie chcą zrobić. Trudno wdawać się w drobiazgowy opis wtajemniczania i obrzezania u jednego z plemion australskich, jaki właśnie posiadamy pod ręką. Powiemy tylko, że cała ceremonia przedstawia symbolicznie jakby porwanie młodzieży przez starców, dokonanie drogą gwałtu odpowiedniej ceremonii i wogóle pastwienie się jednych mężczyzn nad innymi. Wobec tych faktów nie ulega najmniejszej wątpliwości, że wyrzucenie młodzieży z obozu było aktem gwałtu ze strony starszego pokolenia mężczyzn, że przyczyna tej nienawiści tkwiła w zazdrości o kobiety, że wreszcie starsi w uniesieniu popełniali nad wyrzuconą młodzieżą mnóstwo nadużyć, a w tej liczbie pozbawiali ją organów płciowych. Mimowoli na myśl przychodzą fakty ze świata zwierzęcego: „U lam guanako każde stado składa się z kilku samic i jednego samca, ten zaś znosi u siebie tylko młodych samczyków, niezdolnych jeszcze do reprodukcyi. Z chwilą gdy dosięgną oni pewnego wieku, zaczynają się bitwy, wskutek których najsłabsi, będąc zmuszeni ustąpić miejsca silniejszym, łączą się z rówieśnikami i młodemi samiczkami“ (Espinas). Dziewczęta młode, udające się do obozów mężkich u narrinyerów i do klubów u pelauczyków, są może takim równoznacznikiem przebiegania młodych samiczek. Z rozwojem społecznym to brutalne postępowanie starszych mężczyzn względem wyrostków uległo zmianie: wyrzuceniu zaczęto nadawać inny charakter, jednocześnie zorganizowano obozy mężkie, które stały się instytucyą, za pomocą moralności broniącą starszych mężczyzn od niebezpiecznej rywalizacyi młodzieży. W tem to źródle tkwi wiele powodów tej odrębności w życiu codziennem pomiędzy płciami, którą skreśliliśmy w dawniejszych szkicach.

L. Krzywicki.

LITERATURA I SZTUKA.

ODCZYTY.

I. Walerya Marrenowa. *Nowe prądy w literaturze dramatycznej.*

Niemal w całej Europie ujawnia się dziś silna dążność do reformy teatru. Ogół inteligentny, przesycony błahostkami, wytartą formą, którą usiłują odświeżać więksi i mniejsi pisarze sceniczni — pożąda czegoś nowego. Tych nowych prądów, któreby się stały źródłem odżywczem dla teatrów, poszukują usilnie autorowie, chcąc z gruntu odrodzić scenę. Dramaty mieszczańskie, odtwarzające życie jałowe, obracające się wiecznie około spraw małżeńskich, pokątnych miłostek, zapełniają właściwie dotychczas przeważną część repertuarów teatralnych. To też dążenie do przełomu coraz jest silniejsze; „teatr wolny“ chce dać prawo obywatelstwa utworom naturalistycznym. W tym względzie całkiem uzasadniona jest uwaga Marrenowej, że swoboda przebiera miarę. Nie idzie wszakże zatem, ażeby ten rodzaj teatru zasługiwał na całkowite potępienie; owszem, zrodził on pewien ruch twórczy. Pozatem usiłuje wtargnąć na scenę i zapanować na niej — mistycyzm, symbolizm. Maeterlinck robi zamach na aktorów, chce ich zamienić na figury woskowe. Nic też dziwnego, że przedstawiciel tej młodej szkoły belgijskiej jest witany z wielką niechęcią. Z jego dzieł tylko mniejsze dostały się na scenę (*Aveugles* i *Intruse*). Większe, otoczone grubą mgłą symbolizmu, ze względów czysto technicznych nie mogą zdobyć desek teatralnych, a tembardziej na nich się utrwalić. Dążność do wystawienia utworów Maeterlincka p. Marrenowa nazywa zwrotem do dzieciństwa. Jednakże pomimo, iż ten rodzaj najmniej liczy zwolenników, mistycyzm zajął poniekąd stanowisko przełomowe w sztuce i jeżeli przez pewne grupy ogółu inteligentnego witany jest chętnie, to może dla tego, że po skrajnościach naturalizmu stanowi pewien czynnik reakcyjny. To też dramaty z barwą legendarną, misterye, wogóle utwory rozsnute ne kanwie fantazyi, symbolizmu, wkraczają na sceny, szczególnie niemieckie. Z mistykiem belgijskim prelegentka zestawiła skandynawskiego — Ibsena i scharakteryzowała jego wybitniejsze utwory.

Obok powyższych prądów przepływają szeroką falą przez scenę utwory na tle płytkich potrzeb i uczuć świata mieszczańskiego. Z nad Sekwany rozszerzają się one po całej Europie i do nas docierają. W repertuarze naszym sztuki tego rodzaju stanowią największe bogactwo. Dużo już na ten temat pisano i domagano się swojskości, więc też nie będziemy się rozwodzić nad uwagami prelegentki w tej mierze. Trudno w owym odłamie utworów dramatycznych szukać znamion talentu, zresztą jest on w nich zbyteczny, sztuki te bowiem nie tworzą się, ale robią; trzeba tylko poznać przepisy ich przyrządzania, przyjrzeć się warunkom technicznym sceny, mieć szczyptę humoru, dowcipu i sprytu, a nie znajdzie trudności w zdobyciu sceny najlichszy nawet wyrobnik — autor. Marrenowa w końcu słusznie zaznaczyła, iż mieszczańskie utwory dramatyczne pisarzy paryskich nic prawie wspólnego nie mają z naszem usposobieniem i charakterem.

II. J. J. Boguski. *O glinie.*

Pan J. J. Buguski niejednokrotnie już zajmował uwagę ogółu „metalem przyszłości“ a nawet podobno sam przyczynił się nieco do udoskonalenia techniki wydobywania tego kruszcu. Pogadanka też jego była gruntowną i ciekawą. Glin obiecuje dokonać ogromnego przewrotu w dziedzinie potrzeb ludzkich, jako trwały, lekki i w naturze bardzo rozpowszechniony. Już dziś bądź samodzielnie, bądź w połączeniu z innymi metalami, ma on dość szerokie zastosowanie. Nie tylko w przemyśle, ale i w badaniach naukowych odda zapewne nieocenione usługi. Przyrządy samopiszące do badań górnych warstw powietrza za pośrednictwem balonów, mogą się przyczynić do znacznego rozwoju i użyteczności meteorologii. Doświadczenia i przykłady wielce urozmaiciły prelekcyę, a fakt szczelnego zapełnienia sali przez publiczność dowodzi, że popularyzowanie w ten sposób wiedzy znaleźć może licznych zwolenników.

Zn. P.

ŻYCIE SPOŁECZNE.

WIĄZANKA KRAKOWSKA.

Sądownictwo i adwokatura. — Koleje miejscowe. — Szkoły.

Izba posłów w Wiedniu obradowała dnia 20 marca 1873 r. nad przedstawionym przez ówczesnego ministra sprawiedliwości, Glazera, projektem nowej procedury sądowej dla spraw dro-

biazgowych. Wtedy to poseł Meude, przemawiając za wprowadzeniem tej ustawy, opowiedział: „Kiedy w r. 1873 zdawałem egzamin sędziowski, a zdawszy go, ojcu memu przedstawiłem odnośny dekret, usłyszałem z ust jego słowa takie: zdałeś ten sam, co i ja egzamin; przygotowując się niegdyś do tego aktu, uczyłem się *projektu* nowej procedury cywilnej. Projekt został projektem, a procedura została niezmieniona.“ Od owego czasu minęło lat 56, a więc przeszło pół wieku, a słowa starego Mudego doskonale ilustrują jeszcze chwilę obecną. Kandydaci do posad sądowych znowu uczyć się będą — „projektu,“ który przez Schönborna w Radzie państwa został przedstawiony, a który, kto wie, wiele jeszcze lat będzie projektem. Nie pora jeszcze zastanawiać się nad szczegółowemi jego postanowieniami; zaznaczymy tylko, że składa się on z trzech części: 1) z ustawy o właściwości sądów; 2) o postępowaniu sądowem w sprawach spornych; 3) z nowej ustawy egzekucyjnej. Myślą ich przewodnią jest ustność, jawność i szybkość oraz zniżenie kosztów pomocy prawnej. Czy i jakie tedy korzyści przyniesie nowa ustawa — Galicyi? Do dziś dnia sporem — wyjąwszy sprawy drobne — kierowały strony — skarżąca i pozwana — sędzia zaś wyrokował na podstawie dostarczonego przez nie materyału. Dłużnik-pieniacz miał tu obszerne pole dla przedłużania swoich machinacyj. Nowa ustawa składa cały spór w ręce sędziego, który ma nim kierować tak samodzielnie, jak kieruje dotychczas sprawami drobnemi do 50 złr. Teoretycznie inowacya taka byłaby korzystną, w Galicyi jednak przedstawia ona wątpliwości praktyczne. Jest stwierdzonym faktem, że prawnicy zdolniejsi nie poświęcają się karyerze sądowej, przekładając nad nią inną, publiczną, dającą wśród konkurencyi znacznie większe uznanie — brzęczące. Mniej zdolni, niespodziewający się zwycięztw w walce ze współzawodnikami, garną się do posad sądowych, które zapewniają, acz skromne, ale pewne utrzymanie. Dowodem tego jest, że przy egzaminach sędziowskich wymaga się od kandydatów o wiele mniejszych wiadomości, aniżeli od prawników, składających egzaminy adwokackie. Stąd wynika, że energiczny, zdolny i panujący nad całym materyałem ustawodawczym sędzia jest w Galicyi białym krukiem. Dzisiejsze postępowanie w sprawach drobnych dostatecznie stwierdza niedołęztwo sędziów; rozpacz tedy ogarnia na myśl, jak ci sędziowie radzić sobie będą z większemi sprawami. Należałoby chyba przetrzebić i radykalnie zmienić cały obecny ich stan. Nadto nowa ustawa rozwielmożni pokątne doradztwo, mając bowiem na widoku taniość, ruguje w wielu wypadkach przymus adwokacki.

W połączeniu z nową, a może i bez niej, ma być wprowadzony t. zw. „numerus clausus,“ tj. ograniczenie liczby adwokatów. Reforma ta zamierza zmniejszyć nadmiar proletaryatu umysłowego oraz podnieść stan adwokacki przez zabezpieczenie strony materyalnej. Sparaliżuje ona po części ową „taniość“ postępowania sądowego, która leży w założeniu nowej ustawy; adwokaci bowiem, materyalnie silni, konkurencyi się nie bojąc, z obronnej pozycyi z pewnością korzystać będą. Ze stanowiska zaś społecznego zmiana taka jest wprost niepojętą: wszystkie gałęzie pracy zarobkowej są przepełnione, czy więc środkiem, zaradzającym ubóstwu szewców np., ma być ograniczenie liczby ludzi, trudniących się tem rzemiosłem? Wreszcie reforma wspomniana jest niesłychanem pogwałceniem praw obecnych kandydatów adwokackich, jeżeli ci z pod rygoru nowego przepisu wyłączeni nie zostaną. Ludzie, którzy młode lata stracili na ciężkich studyach, po ukończeniu zaś ich siedem lat wysługiwać się muszą za nędzną zapłatę, nietylko że Racheli nie dostaną, ale wyrzuceni będą bezwzględnie na bruk lub do innego jakiegoś Labana, u którego pracować muszą dopóty, dopóki śmierć którego ze szczęśliwszych „mecenasów“ nie uprzątnie. Na czekaniu tem mogą czasem strawić całe życie, albo w najlepszym razie dochrapią się kancelaryi adwokackiej wtedy, kiedy już sił do pracy mieć nie będą. Takich kandydatów jest obecnie w Austryi około *3,000*. Za to reforma ta rozwinie znakomicie funkcye „protektorów“ i służalczość „protegowanych.“

Wkrótce zebrać się ma Sejm. Naturalnie, że czeka go wielka praca. W liczbie rozmaitych projektów, które przedstawione być mają do uchwał, jedno z najważniejszych miejsc zajmuje sprawozdanie Wydziału krajowego wraz z wnioskiem co do pomocy, jaką Sejm winien udzielić przy budowie kolei miejscowych, odnożnych i tramwajów parowych. Sprawozdanie to składa Wydział z polecenia, danego w r. 1889 i proponuje: udzielenie zasiłku rocznego w kwocie 300,000 złr. przez lat trzydzieści, utworzenie krajowego biura kolejowego i krajowej Rady kolejowej. Byłoby bardzo pożądanem, żeby Sejm propozycyę tę uwzględnił w szerszych nawet ramach, aniżeli zakreślił jej Wydział.

Rada szkolna ogłosiła sprawozdanie swoich czynności za rok 1892. Czynności te miały na celu: 1) podniesienie stanu nauczycielskiego, 2) ulepszenie sposobów nauczania, 3) uzyskanie wspólnego działania szkoły z domem rodzicielskim. Co do punktu pierwszego rezultat jest połowiczny głównie z tej przyczyny, że brak nauczycieli coraz dotkliwiej daje się uczuwać. Otworzono 18 posad — bez skutku, liczba suplentów z 34-ch spadła na 27, szesnaście nowych miejsc czeka na obsadę. Plan wykładów został za to dodatnio przekształcony, w nauce języków klasycznych zredukowano stronę formalną, zaprowadzono korzystne zmiany w nauczaniu historyi i matematyki, koszt książek na całe gimnazyum zmniejszył się obecnie do 78 złr., zwrócono uwagę na wydoskonalenie młodzieży w języku polskim i niemieckim. Główną jednak przeszkodę w podniesieniu się nauki szkolnej stanowi niedostateczne przygotowanie kandydatów — nauczycieli. Liczba uczniów w gimnazyach klasycznych z początkiem r. 1892—93-go podniosła się o 52-ch, podczas gdy w latach poprzednich wzrastała o 300 lub 500. Natomiast zwiększyła się suma uczniów szkół realnych i przemysłowych, co dla Galicyi jest objawem bardzo korzystnym. Liczba wszystkich szkół średnich wynosiła w roku 1892-m — 31. W tym roku założono 3 nowe gimnazya: w Podgórzu — dwuklasowe, we Lwowie — czteroklasowe i w Kołomyi — jednoklasowe z językiem wykładowym ruskim. Rozwijać się ono będzie równorzędnie z istniejącem już tu, w którem językiem wykładowym jest polski. Nadto powstało gimnazyum czteroklasowe w Buczacu. Przy zapomodze 20,000 złr. gmina buczacka obowiązała się wystawić budynek, który utrzymywać będzie kosztem 240 złr. rocznie, nadto zaś daje jednorazowo 1200 złr. potem zaś rocznie złr. 150.

Jeżeli stan szkół średnich, sądząc, ze sprawozdania, nie źle się przedstawia, to statystyka ludowych w porównaniu z odpowiednią innych części monarchii, Czech np. i Dolnej Austryi, wygląda opłakanie. Od r. 1850 do r. 1880 szkolnictwo ludowe wcale się w Galicyi nie podnosiło; w ostatnich latach zaznaczyć już można postęp w tym kierunku, w każdym jednak razie mamy *obecnie* tylo szkół tej kategoryi, ile posiadały Czechy przed laty 60-ciu. Od roku zaś 1830-go do dziś Czechy liczbę swoich szkół ludowych podwoiły przy znacznie mniejszej ludności. Ciekawem jest zestawienie liczby nauczycieli ludowych: w Czechach jest ich 20630 — w Galicyi — 8768 (rok 1890); nauczycielek robót ręcznych mają Czechy 3232, Galicya — 569, z tych zaś zaledwie 43 kwalifikowanych. Ten stosunek wytłomaczyć można małą bardzo liczbą seminaryów nauczycielskich. W roku 1890 z ogólnej ich liczby 70-ciu przypadało na Czechy 17, na Dolną Austryę 10, a na Galicyę tylko 9. Tu już wina leży po stronie rządu, który Galicyę traktuje macoszo, wiedząc, że o prawa niema się komu upomnieć. Czechy otrzymują na seminarya męzkie 254,000 złr. Galicya 120,000 złr.; na żeńskie dostaje Galicya zaledwie 43,000 złr. podczas gdy Dolna Austrya np., o tyle mniejsza, otrzymuje 120,000 złr. Z obowiązanych do nauki szkolnej dzieci prawie pół miliona nie może jej pobierać z powodu braku szkół w gminach, a z liczby 930,000 zapisanych, $^1/_3$ nie uczęszcza. W Czechach tymczasem liczba dzieci chodzących do szkół jest większa od liczby — zapisanych. Cyfry te najlepiej świadczą o poziomie oświaty galicyjskiej. Czy się to zmieni i kiedy?

Ferropar.

RUCH EMIGRACYJNY W POZNAŃSKIEM.

(Dokończenie).

Emigrują więc robotnicy wiejscy, ale z zamiarem powrotu, aby uzbierać tylo, ile potrzeba na zakupienie kilkudziesięciu morgów gruntu, bo jak mówią: „tam dobrze jest pracować, ale w kraju lepiej umierać.“ Przed wyjazdem żegnają się z kościołkiem parafialnym i ze zmarłymi na cmentarzu, a z tej roli bożej zabierają woreczek poświęconej ziemi, dla przysypania oczu w razie śmierci na obczyznie. Tak emigrujący robotnik poznański, z pewnością nie przez lekkomyślność, opuszcza domową zagrodę. W każdem zjawisku społecznem wyróżnić należy psychiczny moment woli, kierujący działaniem człowieka, przyczyny i czynniki, składające się na ten moment, i wreszcie środki, ułatwiające zewnętrzne urzeczywistnienie pragnień ludzkich. Podobnież rzecz się ma z emigracyą. Psychicznym momentem każdego przesiedlenia się człowieka jest przedewszystkiem poczucie niezadowolenia z tych stosunków, w których żyje. Ten stan duchowy wywołują zwykle pewne czynniki zewnętrzne, które, jeżeli tylko chodzi o wysiedlenie się znacznych ilości ludzi, muszą być bardzo silne, aby przełamać wrodzone człowiekowi uczucie koserwatywne i przyzwyczajenie do poprzedniego otoczenia.

Dopóki grunt społeczny nie jest odpowiednio przygotowany i w masach istnieje harmonia między potrzebą a jej zaspokojeniem, dopóty podniety zewnętrzne oddziaływać mogą na pojedynczych ludzi, ale bezładne pozostają wobec tkwiących w masie społecznej sił tradycyi i przyzwyczajenia. W rzędzie zewnętrznych środków, ułatwiających ruch wychodźczy, nastręczają się przedewszystkiem agentury. W Poznańskiem i w Prusach zachodnich odgrywają one podrzędną rolę i może w początkach miały pewne znaczenie; dziś i bez nich płynie a raczej sączy się potok emigracyjny bez żadnej sztucznej podniety. Powien ksiądz z powiatu Żmińskiego opowiada, że tam każdy chłop zna drogę do Ameryki „jak geograf.“ W rzędzie czynników zewnętrznych nierównie silniej od agentur oddziaływają przychodzące z Ameryki listy krewnych do kraju, poparte często wymownym dowodem brzęczącym. Przesyłki pieniężne, przychodzące rzeczywiście w znacznej ilości, dobitniej od wszelkich słów malują materyalne położenie wychodźców.

Niewątpliwie przytem działają także pomieszczane w listach z za oceanu lub przez powracających emigrantów rozno-

szone wiadomości, opisujące życie amerykańskie, ową rzetelną, nie zaś malowaną na papierze równość, poszanowanie każdej pracy, niesłychane ułatwianie produkcyi duchowej i materyalnej, słowem wszystkie te dobra, które społeczeństwu północnoamerykańskiemu zapewniają pierwsze miejsce pod słońcem. Wszystkie te wpływy mogą niewątpliwie ułatwiać lub nawet kierować emigracyę w pewną stronę, lecz nie są w stanie jej wytworzyć. Przyczyny leżą zawsze w warunkach bytu społecznego. Bywają one rozmaite. Jako przykłady emigracyi wywołanej przez prześladowanie, przytoczyć można znane powszechnie wychodźtwo hugonotów z Francyi w wieku XVII lub ewangielistów w Niemczech podczas stulecia następnego. Mogą też oddziaływać wypadki polityczne. W Poznańskiem i Prusach zachodnich silny ruch wychodźczy nie da się zapisać wyłącznie na rachunek etnograficznych i historycznych właściwości tych dwu prowincyj, gdyż jednocześnie równie silny potok emigracyjny płynie z Pomorza, dzielnicy będącej jednolicie niemiecką i ewangielicką z wyjątkiem maleńkich skrawków kaszubskich. Jest więc w nich emigracya przedewszystkiem wypadkową sił ekonomicznych. Ludność powiększa się prędzej, niż środki służące do zaspokojenia jej potrzeb, mało rozwinięty przemysł nie wspiera dostatecznie produkcyi rolnej, która sama przez się nie jest w stanie zapewnić odpowiedniego zarobku. W największym ogniu emigracyi, w obwodzie bydgoskim, są jednak parafie, które z powodu szczęśliwego ułożenia się stosunków ekonomicznych pozostały jakby oazy nietknięte przez wychodźtwo. Wreszcie charakterystycznem jest, że ruch emigracyjny z Ameryki, wyrwawszy znaczne szczerby w miejscowościach na północ Warty położonych, nie rozlał się silniejszym nurtem w południowych powiatach księstwa Poznańskiego. Tutaj prąd emigracyi spotkał się w ostatnich czasach z wychodźtwem wewnętrznem i rozbiwszy się o jego fale stracił swe natężenie i siłę. Prądem tym są wędrówki letnie „obieżysasów,“ tak zwana przez niemców „Sachsengängerei.“ Przybiera on coraz większe rozmiary, prowadząc główny wylew do prowincyi Saskiej, mniejsze odpryski rzucając w inne strony Niemiec, mianowicie do kopalni Westfalii i prowincyi Nadreńskiej, gdzie w ostatnich latach nagromadziło się już około 60,000 ludności robotniczej polskiej. I w tej emigracyi wewnętrznej da się uwydatnić ścisły związek między jej natężeniem w pewnej okolicy, a stanem zamożności. W okolicach bogatszych wychodźtwo saskie jest mniejszem, zwiększa się w uboższych. Głównego zastępu obieżysasów dostarczają młodzieńcy i dziewczęta, którzy zaledwie ukończywszy lata szkolne, idą na robotę. Wychodźtwo to zwykle zaczyna się na wiosnę. Skoro tylko śniegi stopnieją i pierwszy skowronek zaświergocze w polu, zaczyna się wędrówka. Wtedy dworce kolejowe roją się tłumami poszukujących pracy, a zarządy kolei żelaznych zaledwie są w stanie nastarczyć wagonów. I znowu potem na twardej jesieni, gdy pierwsze mrozy białym szronem okryją pola, ponawia się to samo życie. Jak stada wędrownych żórawi, ciągną te same tłumy do ojczystej ziemi, z wesołemi twarzami, z kieszeniami pełnemi marek. Niektórzy po kilku latach takiej wędrówki, zapewniwszy sobie tym sposobem pewien dobrobyt, już nadal nie opuszczają rodzinnej wioski. Ekonomiczne więc skutki pojedynczych letnich wędrówek za robotą są niewątpliwie dobre. Można ubolewać tylko nad tem, że wychodźcy nie mogą dosyć zarobku znaleść na miejscu, z zazdrością i smutkiem spoglądać na to, że nad brzegami Warty nie ma tego bujnego życia ekonomicznego, które kipi nad brzegami Renu i Elby; skoro jednakże tak jest, lepiej, że ludność znajduje wogóle pewien zarobek, a nawet robi małe oszczędności, niż gdyby miała w domu gnuśnieć bez roboty lub pogrążać się w nędzy, lepiej, że ów zarobek dostaje w odległości najwyżej 24 godzin jazdy koleją od domu, bez zrywania stałych związków, niż gdyby musiała za chlebem płynąć za morze. Że letnie czasowe wędrówki sparaliżowały bezpowrotny ruch za Ocean, jest rzeczą niewątpliwą.

W ekonomicznej ich stronie tkwi niejeden punkt ciemny. W wielu miejscowościach obieżysasi, wróciwszy do siebie, odpoczywają i tracą przez zimowe miesiące to, co latem w pocie czoła zapracowali. Przyczyną jest tu brak odpowiedniej, choćby lżejszej roboty w domu, którąby pozwoliła zebrane oszczędności przechować. Jeżeli skutki gospodarcze wędrówek letnich dadzą się cyframi usprawiedliwić, to nierównie trudniejsza rzecz z ocenieniem skutków moralnych. Wielu obieżysasów zawarłszy latem mieszane związki małżeńskie, ginie już bezpowrotnie dla stron rodzinnych, ale wypadki takie nie należą do częstych, a główna masa wędrowców powraca zawsze do domu.

Statystyka wykazuje, do jakiego stopnia matematycznej niemal dokładności brak dochodu i zarobku pcha ludność po za kraj rodzinny lub do grobu, albo pozostawia ją w nędzy. Nie tyle działają tu przyczyny przyrodnicze (np. nieurodzajność gleby), ile społeczne: nieumiejętność i wogóle zacofanie.

Sumienny lekarz, a nie szarlatan pacyentowi, który nie jest dzieckiem, przedstawia prawdziwy stan zdrowia i proponuje rzetelne środki zaradcze. Tak samo też gruntowni znawcy tej sprawy mogą sumiennie na wszelką emigracyę radzić tylko ogólną poprawę społeczną, tj. pomnożenie środków utrzymania przez zwiększone wytwarzanie dóbr w Poznaniu. Ponieważ płodność ludu naszego nie czeka na tę zmianę, lepszą jest emigracya, niż zwiększona śmiertelność i nędza.

Prościcki.

DWUDZIESTOLECIE „GAZETY SĄDOWEJ.“

W przedmowie do jednego z dzieł swych opowiada Renan następującą anegdotę bretońską. Pewnej niedzieli z kazalnicy wiejskiego kościółka brzmiały, jak co tydzień, pełne ognia i namaszczenia słowa proboszcza. Jak umiał najlepiej, przestrzegał swe owieczki przed żywotem zwierzęcym, przed groźną falą niemoralności; w najczarniejszych barwach odmalował czeluście piekieł, które pochłoną nieposłusznych jego słowu i przypomniał obiecane rozkosze niebios, czekające cnotliwych. Przekonał swą gromadkę. Głośne łkania były odpowiedzią „niedzielnego“ sumienia. Tylko jeden młody wieśniak nie zdradzał zbytniego zajęcia, pierś jego nie dźwięczała echem łkań serdecznych, oko nie zaszło mgłą rozrzewnienia. Zaciekawiony proboszcz pyta go: czemuż ty nie płaczesz? Ja, ja nie jestem z tej parafii — odpowiedział chłopak.

Przyszła mi na myśl ta anegdota, kiedy miałem opowiedzieć o jubileuszu *Gazety sądowej*. A jednak jakkolwiek nie z „tej parafii,“ może i czytelnika *Prawdy* zajmą losy organu prawnictwa naszego. Umyślnie mówimy prawnictwa: czytelnik bowiem, o ile słyszy o wypadkach i ludziach z tej dziedziny, ma zawsze do czynienia z adwokaturą. Dobrze więc uczyniła redakcya *Gaz. sądowej*, że przypomniała społeczeństwu o istnieniu *„nauki prawa“* u nas. Smutnym jest fakt ten atoli z tego względu, że przypomnienie owo skierowane być musiało i do głównego centrum korporacyi adwokatów i prawników, którzy również, jak i reszta społeczeństwa, dziś o wielu nowych i nieznanych rzeczach dowiedzieć się mogą... Boć już przyznać należy, że co do pracy naukowej — mamy przekonania niezachwiane, charakter niezłomny, nieugięty — przeczący jak gdyby naszym innym cnotom narodowym. Przed kilku laty odważył się „Poseł Prawdy“ oskarżyć prawników naszych o główny współudział w przedsiębiorstwie hodowli „nowelek“ — tak dalece zrozumieć nie mógł, co z czasem swym robią ludzie, którzy skarżą się ciągle na brak zajęć zawodowych i „przeludnienie“ w swych szeregach. Rachunek jest bardzo prosty. Wydział prawny Szkoły Głównej oraz późniejszego uniwersytetu dał wykształcenie mniej więcej 2,000 ludziom, związanym, bądź co bądź, silnymi węzłami pracy i „ideałów.“ Tymczasem cała ta gromada zdobyć się ledwie może na wydawnictwo jednego pisma, które popiera materyalnie słabo, a pracą swą nie zasila zupełnie *). Tak wygląda bilans, albo, jak chce sędzia Andrychiewicz, powinien wyglądać „rachunek sumienia.“

Dnia 5 kwietnia ubiegło dwadzieścia lat od chwili, kiedy *Gazeta sądowa* ukazała się po raz pierwszy na widok publiczny. Nie będziemy opowiadali tutaj wszystkich okresów, które złożyły się na życie organu prawników naszych i które szeroko i poważnie przedstawia w numerze jubileuszowym p. St. Libicki. Przytoczymy tylko parę wybitniejszych ustępów. Zachód europejski na polu czasopiśmiennictwa prawniczego stworzył dwa główne typy — jeden krytyczny, drugi — uwzględniający potrzeby „prawników,“ praktyczny, mający na celu interesy tych, którzy ściśle związani są z instytucyami sądowemi. I tak, niemcy obok przeróżnych *Zeetschriften* (für Rechtsgeschichte, für vergleichende Rechtswissenschaft, für Handelsrecht itd.), mają *Gerichtssaal*; francuzi obok kilku *Revues* (du droit historique, -générale) wydają *Gazette d. Tribunaux*; anglicy zaś jednocześnie poważny *Law Quarterly Review* i taki oto skromny nad wyraz *Law Times.* Tak jest na Zachodzie, gdzie rozkwit wiedzy prawniczej pociągnął za sobą podobne zróżniczkowanie treści czasopism. Zupełnie inaczej u nas. „Ze względu na to — pisze p. Libicki — że *Gazeta sąd.* jest jedynym organem prawnym w kraju naszym, powinniśmy zadość czynić i potrzebom praktyki, i uwzględniać aspiracye naukowe inteligencyi prawniczej, i informować o ruchu prawodawczym w kraju i za granicą, i śledzić rozwój literatury prawniczej naszej i europejskiej, i zaznaczać główne prądy i zmiany w pojęciach prawnych i poglądach na jednostkę prawno-społeczną itp.“ „W złem, czy dobrem — czytamy dalej — szliśmy ciągle naprzód, niosąc wysoko sztandar nauki i *wzywając was*, czytelnicy, *abyście wspólnie z nami pracować zechcieli...*“ Nie zaszkodzi zaznaczyć tutaj, że w tym celu właśnie urządzony został stały konkurs (pieniężny), który jednak żadnych skutków, jak dotąd, nie odniósł zupełnie: powtarza się tutaj, jak i w wielu innych wypadkach, stara nasza, wyłącznie nasza piosenka „bezpłodności i lenistwa.“

Numer jubileuszowy zawiera także zapowiedź niezwykłą: konkurs. Dla dwu względów podkreślamy ten wypadek. Ażeby nie krępować autorów wyborem tematu, redakcya pozostawia im wszelką w tym względzie swobodę; uważa jednak za bardziej odpowiednią pracę nad „podstawami prawa i jego istotą, nad wyjaśnieniem znaczenia prawa, jako siły cywilizacyjnej i stosunku jego do innych sił współrzędnie w rozwoju ludzkości działających.“ Ważniejszym jest fakt, że pięćset rubli, jakie

*) O ile odmiennie przedstawia się praca naukowa i zawodowa medyków naszych!

na cel ten przeznaczone zostały, pochodzi od „grona prawników, którzy w r. 1877 ukończyli uniwersytet.“

Z. Por.

PAMIĘTNIK.

Cienie emancypacyi.

Bywają chwile, w których najzapaleńsi zwolennicy emancypacyi kobiet uczuwają rozczarowanie, niesmak i niechęć do swych własnych zasad. Wtedy pytają oni siebie: czy my nie zabrnęliśmy w grubą omyłkę; czy nas nie złudziły fałszywe pozory; czy my wbrew wszelkiej logice nie bierzemy wyjątków za regułę; czy w takim razie dla kilku lub kilkunastu szczególnych jednostek warto przerabiać z gruntu ustrój społeczny i ryzykować jego wypróbowaną trwałość? Obecnie cały cywilizowany świat niewieści rozprawia nad powrotem... krynoliny. Jego sejmy krajowe i stołeczne nie orzekły jeszcze ostatecznie, czy ten potworny dziwoląg ma być wskrzeszony pod postacią „dzwonu,“ „beczki,“ czy też rozszerzonej „tiurniury.“ Ponieważ pomysłowość głupoty w tym kierunku już wyczerpała się prawie do dna, a strojnisie chciałyby koniecznie ubrać się w coś nowego, więc sprawa niełatwa. Ale ostatecznie pracujące nad nią móżdżki wycisną z siebie jakiś koncept. Po doświadczeniach lat ostatnich, po przykrojonych do tylnych wypukłości hotentotek tiurniurach, po naśladujących pruskie mundury wojskowe wysokich kołnierzach, po sterczących naramiennikach, wszelki idyotyzm już ma utorowaną drogę. Pomyślmy teraz, że twórczynie tych cudactw i potworności, rozprawiające z powagą i zapałem nad „Renesansem“ krynoliny, są temi samemi istotami, które domagają się: równouprawnienia polityczno-społecznego, katedr profesorskich, godności sędziowskich i mandatów poselskich. Istoty te nie pochodzą z ciemnych warstw ludowych, lecz posiadają wykształcenie, obracają się w sferach, na które nauka zlewa potoki światła, obcują z ludźmi rozległej wiedzy i talentów, dotykają myślami najdonioślejszych zagadnień życia i mimo to są tak płytkie, ograniczone, niższe duchowo od pawiów, poprzestających na swem odwiecznem upierzeniu. Powiedziano, że kobieta jest pierwiastkiem piękna. Gdyby ona przynajmniej spełniała tę swoją rolę, darowalibyśmy jej wszystkie dumania nad fatałaszkami. Ale czy można krynoliny, tiurniury i tym podobne obrzydliwości nazwać pięknemi? Czy w nich teraźniejszość znajduje upodobanie, a przyszłość będzie niemi zachwycała się tak, jak szatami starożytności lub nawet XVII wieku? Odwróci się ze wstrętem od paskudztwa, jak się odwraca od strojów indyjskich. Dodajmy do tego, że owe dziwolągi mody nie są czemś, stanowiącem dla kobiety dzisiejszej podrzędny przedmiot jej myśli i uczuć. Właśnie ta, która ma największe prawo do tytułu przedstawicielki XIX w., bo należy do legionów, najgłówniejsze pasmo swych marzeń oprzęda na magazynach i wystawach sklepowych, a wolałaby postradać tysiąc cnót, zdradzić i zrujnować męża, zerwać najściślejsze stosunki, niż wyjść na ulicę w sukni bez obręczy stalowych podczas panowania krynoliny. Czy można się dziwić, że patrząc na miliony takich istot, ktoś z szyderczym śmiechem woła do apostołów emancypacyi: I wy chcecie z nich zrobić ludzi poważnych, myślących — równouprawnić je z mężczyznami, powierzyć im sprawy, od których istnienia społeczeństwo zależy? Ha, ha, ha? Chyba wybierzecie prezydentem takiej rzeczpospolitej najznakomitszego krawca, a ministeryum złożycie z fryzyera (oświata), szewca (sprawy zewnętrzne), bieliźniarza (sprawy wewnętrzne), gorseciarza (skarb), rękawicznika (wojna), jubilera (handel), akuszera (kolonie).

Jeżeli wszystko to jest prawdą a nie karykaturą, to szanowne pionierki postępu i emancypantki powinny zawrzeć zawieszenie broni z mężczyznami i wypowiedzieć wojnę przedstawicielkom swej płci: krynoliniarkom, tiurniurzystkom, kokistkom, grzywiarkom, które daleko bardziej powstrzymują wyzwolenie się kobiet, niż wszystkie statuty i przywileje męzkie. Jest to bowiem tak mizerny i do niczego niezdolny gatunek ludzki, że może upominać się tylko o pobłażanie, a nie — równoprawność. Dom społeczny nie jest magazynem mód, lecz pracownią dobrobytu i wiedzy, nie mogą zająć miejsca w drugiej te, które przygotowują się tylko do pierwszego.

P.

Światła emancypacyi.

Gazeta radomska przytacza następujący urywek listu d-ra Laskowskiego z Genewy:

„Już od lat kilkunastu panuje w Warszawie i w innych miastach pomiędzy młodemi dziewczętami, kończącemi nauki, idea studyowania w uniwersytetach zagranicznych nauk przyrodniczych, a głównie i przeważnie medycyny. Ten entuzyazm, zresztą bardzo szlachetny, zawraca głowy i wyobrażają sobie, że rzecz jest nader łatwa skończyć uniwersytet i uzyskać dyplom, nie wiedzą jednak, na jak wielkie narażają się rozczarowanie. Od lat siedemnastu, jak jestem w Genewie, przyjechało tu studyować około stu młodych polek. Otóż, jaki jest rezultat tych wysiłków pracy i kosztów? Jedne poumierały z pracy i niedostatecznych środków, inne poprzerywały studya skutkiem chorób lub braku funduszów. Dwie tylko uzyskały stopnie naukowe na wydziale przyrodniczym, a ani jedna jeszcze polka nie uzyskała dyplomu nauk lekarskich. Zwróciwszy uwagę, że studya te wymagają co najmniej sześciu lat ustawicznych i ciężkich zajęć i dużych opłat za kursy i laboratorya, widzisz, że rezultaty są jaknajniekorzystniejsze. Żadnej więc młodej dziewczynie, nieposiadającej dużych środków i zdrowia, nie radziłbym rozpoczynać tak ryzykownego przedsięwzięcia. Wierzaj mi i mojemu doświadczeniu i bądź przekonany, że najlepsza przyszłość dla kobiety to zamążpójście i zajmowanie się rodziną. To jest zadanie kobiety.“

Pomijamy opartą na „doświadczeniu“ i małowartą radą d-ra L., której spełnienie zależy od tego, czy jakiś mężczyzna powoła kobietę do owego „zadania,“ całkiem nową jest dla nas wiadomość, że od lat 17 tylko dwie polki uzyskały w Genewie stopnie naukowe na wydziale przyrodniczym, ani jedna zaś na lekarskim. A przecież tyle czytaliśmy doniesień o dyplomach, przyznanych naszym rodaczkom w tamtejszym uniwersytecie! Albo więc dr. L. się myli, albo zachodzi tu jakieś nieporozumienie. Bądź co bądź, ani trudność zdobycia patentu, ani ciężar i długość pracy, ani smutna dola tych biedaczek, które padły ofiarą dążenia do wiedzy, a raczej niedostatku materyalnego — wszystko to nie powinno zniechęcać pragnących wstąpić w ich ślady, ile razy je na tę drogę popychają rzeczywiste zdolności i prawdziwa miłość dla nauki.

Projekty „na garnuszku.“

Nieszczęśliwym wynalazkiem wszelkich stowarzyszeń są ich komisye, które pozwalają im zjadać to dziś, co trzeba jutro, a robić to jutro, co trzeba dziś. Trudno zaprzeczyć — i zdaje się, nikt tego nie uczynił — że każdy z nas może być ojcem lub matką zdrowego projektu. Narodziło się też owej dziatwy dużo, ale cóż, kiedy oddajemy ją zwykle „na garnuszek“ rozmaitym komisyom, u których wycieńczone lub uduszone zamierają. Śmiertelność jest tu wprost straszna. Grozi ona znowu jednemu z niemowląt. Z wielokrotnych obrad w sekcyi rolnej warszawskiego oddziału Tow. pop. rusk. przem. i handlu dowiedzieliśmy się: 1) że istniejące w Królestwie fabryki nawozów sztucznych nie wystarczają potrzebom; 2) że często sprzedają produkty wątpliwej wartości; 3) że sprzedają je drogo. Ponieważ zaś w ostatnich czasach rolnicy nasi zaczęli coraz więcej zużywać nawozów sztucznych, ponieważ są to wytwory dość kosztowne i jeżeli nie zawierają wymaganej ilości rozpuszczalnych części fosforu, potażu lub azotu, zamiast korzyści przynoszą straty i szkody, więc... Jakiż tu może być wniosek? Tylko jeden: należy założyć nową fabrykę sztucznych nawozów, któraby wyrabiała produkty dobre i tanie, ponieważ zaś są w tem najbardziej zainteresowani rolnicy, oni powinniby ją stworzyć zbiorowemi siłami. Słuszność przyznać każe, że do tego wniosku doszli, ale powierzyli go komisyi. Bodajby ona, jak wiele innych, nie była dla niego Skublińską! Życząc mu troskliwej opieki i najlepszego losu, zapytajmy: wobec przytoczonych w tej sprawie argumentów i stwierdzonych warunków powodzenia, jakich jeszcze dowodów potrzeba naszym ziemianom (mogącym nabywać akcye), ażeby wreszcie uznali, że jest to świetny dla nich interes i przystąpili do czynu? Czy np. zaryzykowaliby na taką fabrykę po 100, 500 i 1,000 rs., gdyby im hr. Krasińscy, Zamojscy, Braniccy poręczyli hipotekami swych dóbr pewność kapitału z 10%? Nam się zdaje, że i wtedy jeszcze wybraliby do zbadania tego projektu komisyę i po długim namyśle zabalsamowaliby go jako mumię w aktach sekcyi rolnej. Może się mylimy? Uważajcie tylko czytelnicy, co się stanie z uznanym i oklaskanym pomysłem fabryki nawozów sztucznych za dwa lata.

W.

Okólnik.

Dyrektor kolei Warszawsko-Wiedeńskiej wydał okólnik w sprawie obciążenia pensyj urzędników aresztami wierzycieli. Ci, którzy będą świeżo obejmowali posady, muszą złożyć deklaracyę, że nie dopuszczą do aresztów; gdyby zaś tego obowiązku nie spełnili, będą uwolnieni ze służby. Kasyerzy, ekspedytorzy i magazynierzy winni już do dnia 18-go maja r. b. oczyścić pensye swoje z dotychczasowych aresztów, w przeciwnym bowiem razie będą tranzlokowani na inne, mniej wymagające osobistej odpowiedzialności posady; wreszcie urzędnicy, którzy po pewnym czasie, od dnia ogłoszenia niniejszego okólnika, nie pozbędą się obciążających ich pensye aresztów za długi prywatne, nie będą nigdy awansowani.

Nam się zdaje, że jest to żądanie zbyt surowe i niewykonalne, gdyż długi stwarza nietylko lekkomyślność, ale i nieodparta potrzeba. Daleko właściwszą i lepszą drogę wyjścia znalazło Towarzystwo kred. ziems., mianowicie skupiło długi swych urzędników i strąca im je częściowo z pensyi, naturalnie bez lichwiarskich procentów. Akcyonaryusze kolei Wiedeńskiej mogliby pójść za tym przykładem i również usunąć areszty odpowiednim funduszem, a gdyby nawet oprocentowali te pożyczki umiarkowanie, wyświadczyliby swoim pracownikom wielkie dobrodziejstwo, sami nic nie tracąc i nie ryzykując.

Psy i kolonie letnie.

Dr. Bujwid utrzymuje na podstawie dowodów ze swej kliniki zaczerpniętych, że ile razy w pewnym domu pies się wścieknie, z pewnością objawi się wścieklizna u psów oraz pokąsania ludzi na ulicach przyległych. Niedawno nawet ogłosił z tego powodu w pismach ostrzeżenie. Pomimo Pasteura i Bujwida są to zawsze wypadki groźne i nie prędzej zmniejszy się ich ilość, aż zredukowana zostanie liczba psów utrzymywanych i wałęsających się po Warsza-

wie. Rzeczywiście poza Turcyą, trudno byłoby znaleźć w Europie drugie miasto, w którem by uwijała się taka masa tych zwierząt. Bernardy, terre-neuvy, wyżły, pudle, buldogi, kundle, pinczery, mopsy, jamniki, wszelakie gatunki latają gromadnie bez kagańców, toczą zacięte walki, napadają przechodniów lub zagradzają im drogę. Każdy chłop, chcąc zatracić niepotrzebnego mu psa, przyprowadza go i pozostawia w Warszawie. Tych włóczęgów czyściciele wyłapać nie mogą, gdyż wiadomo, jak solidarnie stróże, służące, chłopcy gwizdaniem i krzykiem utrudniają im łowy. Ale nawet wyłączywszy psy wędrowne, stałych posiada Warszawa, to olbrzymie gniazdo kłusowników i myśliwych niedzielnych, za dużo. Opodatkowanych jest około 5,000, wszystkich razem co najmniej 5 razy więcej, w tej sumie około 3—4,000 zbytkowych. Przyjąwszy tylko 6 rs. rocznie kosztu utrzymania jednego, otrzymujemy dla zbytkowych kilkanaście tysięcy a ogółem około 100,000 rs. psiego budżetu. Gdyby tylko dziesiąta część tej sumy poszła na kolonie letnie, 200 biednych dzieci uratowałoby swe zdrowie. Czy o tem myślą właściciele dogów, którzy płacą rocznie za ich żywność w jatkach po 50 rs., lub czułe matki pinczerów, które im sprawiają kortowe okrywki i kołderki, a nawet obdarzają po śmierci sowitymi zapisami? *Z.*

Samowola reklamy.

W naszym wieku reklamy bezczelność w wychwalaniu wszelkich środków cudownych doszła do niemożliwych granic. Gdy zaś publiczność zaczęła powątpiewać o skuteczności płynów, balsamów, proszków itd. przywracających zdrowie ludziom, zwierzętom i roślinom, zadrzewiających pustynie i pokrywających bujnym włosem łysiny, pomysłowi spekulanci chwycili się innego sposobu: jęli samowolnie powoływać się na powagę uczonych firm i osób pojedynczych, które wrzekomo wypróbowały zachwalane środki. W tych dniach jeden taki „świadek" z leśnictwa skierniewickiego musiał publicznie zaprotestować przeciw nadużywaniu jego imienia. Niejaki p. G. N., fabrykant olejów i smarów z Grodziska zareklamował swojego wyrobu „lep" zapobiegający szkodliwemu działaniu „brudnicy mniszki" (*Bombix monacha*), która w ostatnich trzech latach dużo zniszczyła lasów iglastych u nas i za granicą. Jako dowód skuteczności swego fabrykatu, wynalazca powołuje się na świadectwo, wydane mu przez zarząd księstwa łowickiego, gdzie ów lep był używany. Otóż p. Roszczycki wyjaśnia, iż zarząd wydał p. N. świadectwo na kupno lepu, ale nie na skuteczność. „Przeciwnie, żadnych zgoła pozytywnych rezultatów ów „lep" nie wydał. Kilka tysięcy funtów smaru, użytego w lasach, absolutnie na nic się nie przydały." Gdyby takie protesty na drodze publicznej częściej się powtarzały, możeby mniej było łatwowiernych much, łapiących się na wszelkiego rodzaju „lepy" nieraz z wielką stratą materyalną *). *P.*

*) W prawdzie p. G. N. broni się w *Kuryerze warsz.* przytoczeniem wydanego mu świadectwa, ale znowu w *Ogrodniku pols.* p. Kleszczyński ze Skrzeszowic zadaje jego „lepowi" cios śmiertelny, twierdząc, że ten fabrykat nie łapie owadów a psuje drzewa.

SPRAWY EKONOMICZNE

PRZEMYSŁ, HANDEL I FINANSE.

Bank rolny włościański. Ogłoszono Najwyższy Ukaz o przedterminowym wykupie 5½% świadectw państwowych Banku rolnego włościańskiego i o wypuszczeniu na ten cel 4½ procentowych świadectw tegoż Banku na sumę nominalnego kapitału 51,073,300 rs., na zasadzie poprzednich emisyj 4½ procentowych świadectw. Właściciele 5½ procentowych świadectw Banku włościańskiego, w razie wyrażenia życzenia, mają prawo utrzymać wypuszczane obecnie 4½ procentowe. Tym, którzyby nie chcieli nowych, będzie wypłacony kapitał nominalny z doliczeniem procentu do czasu jego płatności. Z mocy rozporządzenia ministra skarbu 5½ procentowe świadectwa, które nie wyszły w losowaniu, przeznaczone są do wykupu na d. 2 lipca 1893 r. Liczenie procentu ustaje od tejże daty, a w kantorach i oddziałach rozpoczyna się wykup świadectw. Za każdy brakujący kupon odlicza się całkowita jego wartość, po odtrąceniu podatku dochodowego od kapitałów pieniężnych. Właściciele 5½ procentowych, życzący sobie otrzymać kapitał i procent, zostają uprzedzeni, że termin przyjmowania świadectw oznaczany będzie od d. 18 czerwca r. b. Właścicielom 5½ procentowych służy prawo otrzymania na spłatę na takąż sumę kapitału nominalnego 4½ procentowych. z dopłaceniem dla nich po rublu na 100 rs. kapitału nominalnego. Wydawanie 4½ procentowych rozpocznie się nie później, niż d. 1 lipca b. r., deklaracye zaś o życzeniu wymiany mają być przedstawione najpóźniej do dnia 30 kwietnia r. b. Właściciele 5½ procentowych świadectw, którzy przed wskazanym wyżej terminem nie złożą deklaracyj, będą uważani za zrzekających się prawa wymiany.

Handel owocowy. W sprawie handlu owocami p. E. Jankowski na ostatniem zebraniu przedstawił następujący wniosek: 1) Towarzystwo ogrodnicze będzie pośredniczyło pomiędzy swoimi członkami, właścicielami sadów na prowincyi a kupcami w Warszawie; 2) pośrednictwo to będzie bezpłatne, lecz Towarzystwo nie odpowiada przed stronami za wszelkie następstwa, wynikające z kupna i sprzedaży; 3) wytwórcy członkowie mogą nadsyłać próbki owoców do lokalu Towarzystwa, z oznaczeniem ilości każdego gatunku ceny *loco* i z podaniem dokładnego swego adresu. Kupcy będą te próbki oglądali, lecz muszą się porozumiewać z producentami bez udziału Towarzystwa. Na próbki trzeba wybierać najmniej po 2 sztuki: najgorszych, średnich i najlepszych owoców każdej odmiany, a śliwek, wisien najmniej po funcie. Komisya owocowa po sprzedaniu partyi może z tych próbek korzystać dla celów naukowych; 4) o znajdujących się w lokalu Towarzystwa próbkach będą według uznania zarządu czynione treściwe ogłoszenia, a na żądanie każdego członka — obszerne, lecz na jego rachunek; 5) na koszt korespondencyi i ogłoszeń ma wydatkować zarząd z funduszu dyspozycyjnego do wysokości 30 rs. Wniosek p. Jankowskiego ogólne zebranie przyjęło.

— W fabryce wyrobów fantazyjnych i wstążek jedwabnych pod firmą „Smitz, Wernhagen i S-ka" w Łodzi, zatrudniającej około 200 robotników, skrócono dzień roboczy o godzinę, tj. z 13 na 12 godzin, przyczem płacę podniesiono o 10 kop. dziennie. Towarzystwo Akcyjne fabryk Poznańskiego w Łodzi zawiadomiło również swoich pracowników, że skrócony będzie dzień roboczy o godzinę od dnia 25-go kwietnia roku bieżącego.

— Zwinięto fabrykę wełny drzewnej w Lublinie, założoną przed rokiem przez radcę miejscowej dyrekcyi Tow. kred. ziems. p. Wiercieńskiego. Między innemi przyczyniła się do niepowodzenia cholera zeszłoroczna. Zakład jednocześnie wyrabiał ramki i deski do nawijania towarów łokciowych, ale nie mógł współzawodniczyć z fabrykami łódzkiemi, które tego rodzaju przedmioty wyrabiają taniej i lepiej.

— Na posiedzeniu ogólnem Warszawskiego Towarzystwa ubezpieczeń od ognia zaznaczono pomyślny wzrost premiów i jednocześnie wykazano fakty niezwykłej liczby pożarów, a stąd wielkich strat. Przynoszą ich najwięcej ubezpieczenia działu rolnego. W ciągu całego okresu istnienia Towarzystwa straty owe stanowiła bardzo wysoką sumę, pokrytą tylko zyskami, wpływającymi z innych działów.

— Cechowi szewcy warszawscy starają się wypowiedzieć walkę fuszerom za pomocą wyjednania prawa na stemplowanie obuwia, dostarczanego na targi znakami cechowymi, zatwierdzonymi przez władzę (gwiazdy z herbem miasta).

— Ministeryum skarbu przychyliło się do starań banków włościańskich, tj. wyda odpowiednie przepisy, na mocy których umowy nie przedstawione bankowi przy otrzymywaniu pożyczki i zawarte bez upoważnienia instytucyi kredytowej po udzieleniu sumy, zachowują swoją moc w ciągu jednego roku od dnia przyjęcia majątku na własność banku lub postronnego nabywcy.

— Nowy podatek patentowy ma być wprowadzony w życie od 13 marca r. p.

— Podatek „repartycyjny" 3%, którym obłożone były dotychczas Towarzystwa akcyjne handlowo-przemysłowe, będzie zastosowany obecnie także do przedsiębiorstw, należących do osób pojedynczych. Z tego źródła skarb otrzyma około 1,100,000 rs. rocznie.

KRONIKA.

Sprawy społeczne. Warszawski oddział Towarzystwa racyonalnego polowania i ochrony zwierzyny zapowiada dwa konkursy, pierwszy na napisanie trzech broszur: o sarnie, zającu i kuropatwie. Nagroda 250 rs. za każdą. Termin 1 kwietnia r. 1894. Drugi ma na celu skuteczne tępienie zwierząt drapieżnych. Członkowie Towarzystwa za przedstawienie dowodów największej w tym względzie działalności, będą mieli prawo do odpowiedniej nagrody, wyznaczanej corocznie 1 kwietnia.

— Władze łódzkie wydały rozporządzenie, ażeby ci majstrowie fabryczni, którzy nie wykazali dostatecznej umiejętności władania językiem ruskim lub polskim na egzaminach, odbytych w grudniu r. z., opuścili z dn. 13 b. m. stanowiska swoje w zakładach przemysłowych. Majstrów, którzy nie odpowiadają wymaganym warunkom, jest w Łodzi około 150.

— We Lwowie otwarto stacyę ratunkową, ze służbą nocną i dzienną. Inwentarz (wartość 10,000 złr.) jest darem wiedeńskiego Towarzystwa ochotniczego. Dyżury prowadzić będą bezpłatnie lekarze miejscowi i młodzież ze szkoły weterynaryi, dopóki wydział lekarski we Lwowie nie dostarczy nowego zastępu ochotniczego.

— Kasy pożyczkowo-rzemieślnicze w Warszawie r. z. wydały pożyczek 38,346 rs.; w tym okresie zwrócono 34,446 rs. Z końcem r. 1892 pozostało u dłużników ogółem rs. 49,223, majątek kas wynosił 47,173, który w porównaniu z rokiem poprzednim zwiększył się o 4,622 rs. Ściąganie pożyczek było utrudnione; koszty sądowe na ten cel użyte, uczyniły 1746 rs., straty poniesione na dłużnikach 989 r.

— Nowe szczegółowe opracowanie sprawy odpowiedzialności właścicieli przedsiębiorstw przemysłowych za kalectwo lub śmierć robotników wskutek nieszczęśliwych wypadków zostało już ukończone.

— Arcybiskup archidyecezyi warszawskiej i biskup dyecezyi kujawsko-kaliskiej wydali cyrkularze do duchowieństwa, ażeby, w myśl rozporządzenia gubernatora warszawskiego, zwłoki nieboszczyków nie były chowane wcześniej niż po upływie trzech dni od zgonu.

Szkoły. Dla studentów uniwersytetu w Jurjewie wydano nowe przepisy: Przechodzić z jednego wydziału na drugi można tylko za pozwoleniem rektora. Fakultety: teologiczny, prawny, historyczno-filologiczny i fizyczno-matematyczny obejmą 8—9 semestrów, a medycyny 10—11. Rok akademicki zaczyna się od 1 lipca. Studenci, którym nie będą zaliczone trzy semestry z rzędu, podlegają uwolnieniu z uniwersytetu. Słuchaczom wzbronione jest bez pozwolenia władzy urządzanie koncertów, teatrów, wieczorów, tudzież wygłaszanie mów publicznie.

— Na uniwersytecie lwowskim w ubiegłem półroczu było 1,275 słuchaczów (teologów 338, prawników 747, filozofów 190).

— Więksi fabrykanci okręgu moskiewskiego starają się o utworzenie szkół specyalnych, dla przysposobienia na wzór zagranicy, odpowiednio uzdolnionych majstrów w danym fachu.

— Ministeryum oświaty poleciło w tych dniach okólnikiem kuratorom okręgów naukowych przyjąć pod swoją władzę szkoły przy kościołach katolickich, stosownie do Najwyższego ukazu, przy czem jednak powinno być zachowane prawo duchowieństwa katolic.

kiego do czuwania nad religijnem wychowaniem młodzieży.

— Ministeryum dóbr państwa opracowało w ostatecznej redakcyi program dla wędrownych nauczycieli, których zadaniem będzie nauczanie włościan ogrodnictwa.

— W Irkucku powstanie nowa szkoła górnicza niższa, na wzór dąbrowskiej.

Zdrowie publiczne. W gub. podolskiej od początku cholery do 16 marca r. b. zachorowało osób 8,223, wyzdrowiało 5,212, zmarło 2,866.

— Pisma lekarskie nawołują do zakładania pracowni klinicznych przy szpitalach prowincyonalnych. Dotąd są dopiero dwie: w Warszawie od trzech lat i w Lublinie od pięciu miesięcy. Obecnie otwiera taki zakład Tomaszów.

— Towarzystwo żeglugi parowej „Merkury," posiadające swoje statki na morzach Czarnem i Kaspijskiem, zakontraktowało pięciu młodych lekarzy warszawskich na stałe. Każdy obejmuje dozór sanitarny nad jednym statkiem pasażerskim i będzie pobierał oprócz kosztów utrzymania, na równi z oficerami załogi 200 rs. pensyi miesięcznej. (*Kuryer warsz.*).

Sprawy kolejowe. Zbierane są obecnie dane, w jakich kierunkach i w jakim czasie najstosowniejsze byłoby zaprowadzenie pociągów robotniczych, uchwalonych przez zjazd górniczy.

— Dyrektorem kolei Libawsko-Romeńskiej na miejsce ustępującego Glazenappa zamianowany został inspektor kolei w Królestwie, p. Łaskin.

Teatr. W teatrze Rozmaitości wystawiono *Stare długi* M. Gawalewicza i *Wet za wet* Chmurki. Sprawozdanie z powodu braku miejsca zamieścimy w numerze następnym.

Odpowiedzi Redakcyi.

M. F. Tylko *lekcyj*, gdyż po przeczeniu musi być przypadek 2 (Np. nie kupię *stołu*, a nie: *stół*). Co do drugiego pytania obie formy dobre: my piszemy: *rozpocząć*.

Prenumeratorce. Z wiersza Słowackiego p. t. „Do autora trzech psalmów" (Krasińskiego).

Bezimiennemu. Jeżeli Pan nasze uwagi czytał, nie zaś tylko słyszał o nich, to znalazł tam Pan zastrzeżenie, że nie ustanowiliśmy się jako trybunał w tym sporze, lecz przedstawiliśmy pretensye pp. K. Co zaś do pytań, to odpowiadamy na pierwsze: nie tylko „wypadało," ale należało, gdyż sąd ten mógł również rozstrzygnąć kwestyę obrazy; na drugie: dopiero od Pana dowiadujemy się, że T. k. z. jest instytucyą rządową.

P. Wł. K. Galicyanie są niepoprawni; nikt im wytłomaczyć nie może, że wyrażenie: „rozchodzi się (zamiast: chodzi) o to" jest dziwolągiem, nieznanym naszemu językowi.

Spółka Nakładowa zniżyła ceny niektórych swoich wydawnictw dla abonentów Prawdy. Mianowicie odtąd kosztować będzie:

J. Brandesa **Literatura romantyczna we Francyi (Głównych prądów tom V)** rs. 1.50.
P. Chmielowskiego **Autorki** — rs. 2.
H. Heinego, **Wybór pism**, t. I — k. 60.
„ „ „ t. II — rs. 1.

Wyszła z druku książka
L. Krzywickiego
LUDY
str. 432. Cena rs **2** k. **50**, z przesyłką pocztową rs. **2** k. **80**. Nabyć można w Administracyi *Prawdy* oraz we wszystkich znaczniejszych księgarniach.

Redaktor i Wydawca dr. fil. Al. Świętochowski.

Дозволено Цензурою, Варшава 9 Апрѣля 1893 г

Druk K. Kowalewskiego, ul. Królewska Nr. 29.